

Popioły Equestrii

Rozdział 6

Autor: DJSzklaz

Pre-reading: Foley

Korekta: Silma, Gandzia

Sagan nie znośił wczesnych pobudek. Nieodmiennie bolała go głowa, przed oczami migały dziesiątki kolorowych plamek, a żołądek wywracał się na lewą stronę. Niestety, odkąd trafił do tego przeklętego wojska musiał zrywać się skoro świt, narażając na wszystkie możliwe nieprzyjemności.

Mrucząc pod nosem coraz to nowe przekleństwa, włókł się noga za nogą w stronę czegoś na kształt placu apelowego. Była to ni mniej ni więcej, tylko dość spora przestrzeń na środku całego obozu, od zewnątrz otoczona namiotami oficerów sztabowych ze wszystkich legionów. Oczywiście zachowano należyty podział rasowy, oddzielając się od niechcianych towarzyszy dość szerokimi, wyznaczonymi między kwaterami alejkami. Na samym środku ustawione zostało prowizoryczne drewniane podwyższenie, mogące pomieścić co najwyżej dwójkę dość chudych kucyków. Zaraz obok, przyklejone nieomal do sceny, rosło dość krzywe i uschnięte drzewo. Jego gruby, spękany pień stracił swój dawny, ciemnobrązowy kolor, zamieniając się w paskudną szarość. Na placu stała już co najmniej połowa 2 Armii, przebijając nerwowo nogami i z niecierpliwością wyglądając porannego zapiewajły, wrzeszczącego nieodmiennie banalne frazesy o konieczności walki za ojczyznę. Zaraz po nim występował oficer dyżurny, powtarzający codziennie ten sam rozkaz rozejścia się. Sagan wyjątkowo nie lubił porannej celebry, a dzisiaj zdawało mu się nawet, że został wcześniej obudzony. Czyżby jakieś dłuższe ogłoszenia?

Razem z idącą obok Antąlek postanowili obejść część zatłoczonego placu bokiem, wzdłuż rozstawionych kolorowych, czerwono-pomarańczowych, pasiastych namiotów, stanąć gdzieś na uboczu i przeczekać nieprzyjemną odprawę. Porywisty wiatr targał wielobarwnymi płachtami, chwiały powbijanymi w ziemię żerdziami i ustawionymi byle jak wokół kwater włóczyniami. Kilka z nich z suchym trzaskiem przewróciło się prosto pod kopyta dwójki kucyków. Sagan otarł się bokiem o jeden z namiotów, przedzierając w stronę mniej zatłoczonej części placu. Zaklął dosadnie na czym świat stoi i zrugął jednego z młodszych legionistów, zastępującego mu przejście.

Wciągnął chłodne, wilgotne, jesienne powietrze. Nad głową zawirowały mu dziesiątki targanych wiatrem liści. Powiewający na czubku najbliższego namiotu proporzec zafurkotał głośno, miotany na wszystkie strony.

Maszerująca obok Sagana Antałek zawołała coś, wskazując kopytem przed siebie. Ogier powędrował wzrokiem we wskazywany kierunek i ujrzał stojącą nieopodal grupkę legionistów, otaczających dziwnie znajomą postać. Żółta klacz siedziała na brudnej ziemi, patrząc niewidzącym spojrzeniem przed siebie. Krępujące jej nogi sznury skutecznie uniemożliwiały jakąkolwiek próbę ucieczki.

– Zaraz... Jakoś tak znajomo wygląda. – Sagan zagapił się na więźnia, zatrzymując jednocześnie na środku ścieżki. – Nie? Antałek!

– Przecież to Sunny! Nie poznajesz? – Ze zdenerwowaniem zamrugła oczami. – Niedobrze to wygląda.

Potrząsnęła głową i nie namyślając się dłużej, ruszyła zwawo w stronę grupki legionistów, mamrocząc pod nosem kilka zgryźliwych uwag pod adresem całego świata.

– Antałek! Psiakrew, gdzie leżesz? – Sagan zerwał się z miejsca i popędził za oddalającą się czerwonogrzywą klaczą. – Co ty wyprawiasz? – Dopadł ją i złapał za ogon, zatrzymując raptownie w miejscu.

– Puszczaj! – warknęła, obrzucając go złym spojrzeniem. – Idę się dowiedzieć, o co chodzi. Czemu związali Sunny.

– Odbiło ci! – W oczach Sagana dostrzegła strach. Nie było to zresztą nic nowego, ogier nigdy nie grzeszył odwagą. – Coś musiała odwalić. Lepiej się nie przyznawaj, że ją znasz, bo i ciebie może spotkać coś złego.

– Tchórz. Możesz udawać, że mnie nie znasz, skoro aż tak się boisz, bo nie wierzę, że chodzi ci tylko o mnie. Biegnij do tej szarej masy i pogap się tępo na scenę. – Odwróciła się od ogiera i ruszyła w stronę więźnia, nie oglądając się za siebie.

– Owszem, nie chodzi mi tylko o ciebie! – Sagan zrównał się z klaczą i idąc bok w bok, odwrócił głowę, patrząc badawczo na Antałek. – Idę z tobą.

– Świetnie... – Wywróciła oczami, dając do zrozumienia, że obecność kolegi wcale jej nie odpowiada, choć musiała przyznać, trochę ją to podbudowało.

Para podeszła szybko do grupki żołnierzy, obchodząc rozgadany, niewyspany, falujący tłum legionistów od lewej, szorując niemal bokami o rozstawione na krawędziach placu namioty. Głośniejszy, niezrozumiały krzyk poleciał w niebo z gardła jakiegoś mądrali, zaraz za nim rozbrzmiały wrzaski i gardłowe śmiechy kilkunastu innych legionistów.

– Więc słuchaj, ja rozmawiam, ty siedzisz cicho. – Ogier pokiwał głową, lepiej było nie klócić się z Antałek. – Hej! Wy! – Sagan ze strachem spojrzał na obcesowo wymachującą włócznią klacz. Jeden ze strażników odwrócił się i popatrzył bez zainteresowania na zbliżającą się dwójkę.

– Czego? – warknął, mierząc krzywym wzrokiem Antałek.

– Przyszedłszy, bo... Zaraz... Cloudy? To ty? – Antałek wyszczerzyła się w nieszczerym uśmiechu i podbiegła do ogiera, ignorując szcęk nadstawianych przez resztę legionistów ostrzy. Sagan pokręcił głową z konsternacją. Nieodmiennie zaskakiwała go energiczna klacz. *Skąd ona ma tyle znajomych w całej armii? Prawie tyle samo, co Sunny... Choć jej akurat znajomości jak widać nie pomogły...*

– Antałek. – Legionista pokiwał głową i uśmiechnął się głupkowato. – Czego tu szukasz?

– A wiesz, tak sobie podeszłam. A z nimi co? Ktoś w dzieciństwie ich skrzywdził? – Wskazała bez żenady na celujących w nią żołnierzy.

– Co? – Odwrócił się ze zdziwieniem do swoich podkomendnych. – Opuście to, do cholery! Nie przejmuj się nimi, to idioci. – Antałek pokiwała głową na znak, że przyjmuje wyjaśnienie. Z perspektywy nadgorliwych strażników wyglądało to co najmniej dziwnie. Oto ich dowódca, mający zadatki na centuriona, derkurion Cloudy Sky tłumaczy się byle legioniście?

– Dawno się nie widzieliśmy. – Klacz podeszła do ogiera i pewnie objęłaby go poufale, ale widząc minę stojącego obok Sagana, poniechała. Lepiej przejść szybko do sedna...

– W samej rzeczy. Trzeba to nadrobić. O, witaj, Sagan. – Ogier skinął niechętnie głową. *A ten skąd mnie zna?* – Jak już zostanę centurionem, zaproszę cię na popijawę i sobie więcej pogadamy. Widzisz, mam teraz w przeciwieństwie do ciebie obowiązki.

– Pff... Ty centurionem? Chciałabym to zobaczyć – zarechotała głośno klacz i wyszczerzyła się jeszcze bardziej. Cloudy przyłączył się zaraz do Antałek ze swoim tubalnym śmiechem. – Ale, ale, cóż to masz za powody, żeby nie móc porozmawiać ze starymi znajomymi?

– Służbowy – mruknął, odwracając się i ukradkiem spoglądając na wpatrzoną w ziemię Sunny. Klacz na moment podniosła wzrok i spojrzała na Antałek z olbrzymim smutkiem w oku. Zamrugnęła powiekami, ale nic nie powiedziała. Po cóż miałyby zdradzać, że zna tę klacz? I tak w niczym jej to nie pomoże...

– Ja tam widzę tylko jakąś związaną. – Antałek podrapała się za uchem, gdzie od rana coś zawzięcie ją swędziało. – Co przeszkrobała?

– A co cię to obchodzi?! – Jeden ze strażników, młoda klacz zdenerwowana najwyraźniej śmiałością Antałek, wyrwała się do przodu z groźną miną. – Wypieprzaj...

– Morda w kubeł! – Cloudy Sky odwrócił się gwałtownie i przeszył agresorkę złym wzrokiem. – Pilnuj więźnia, a nie filozofuj! Od tego ja jestem. A co do niej. – Odwrócił się do

Antałek. – To podobno jest jakimś szpiegiem – konspiracyjnie ściszył głos i pochylił się do klaczy.

– Doprawdy? – *O kurwa, niedobrze!* A tyle razy wspominała jej, żeby dała sobie spokój z tymi kretyńskimi listami. Ze zdenerwowania zaczęła nerwowo poprawiać czerwoną grzywę i co chwila przecierać ciemnoniebieską sierść. – I co z nią zrobicie?

– My nic. Ale zakładam, że powiesz ją zaraz po wrzaskach tego pajaca. – Wskazał na wchodzącego właśnie na podwyższenie ciemnopomarańczowego kucyka. – Podobno Typhoon cholernie się zezłościł.

– Czyli że niezbyt ciekawie... – Klacz wzdygnęła się ze strachu. *Powiesić Sunny? Skurwysyny. Jaki szpieg?!* – Dobra, to my już pójdziemy. – Spróbowała się uśmiechnąć, ale mięśnie przestały jej słuchać. – Jeszcze kiedyś się spotkamy.

– Jasne! – Antałek ruszyła przed siebie, nie oglądając więcej na Clouda. Machnęła roztrzęsionym kopytem na Sagana, przywołując go do siebie.

– No i co teraz? – Ogier podbiegł do niej, szczękając płytami zbroi i rozrzucając na boki leżące na ścieżce kamyki.

– Nie wiem, ale trzeba coś szybko wymyślić! – Trzeba było, niestety czerwono-niebieska klacz nie była w tym najlepsza. Zdenerwowana popatrzyła na wciąż pochmurne niebo i kilkakrotnie uderzyła bezwiednie kopytami o ziemię. – Nie wiem! Wymyśl coś! – Złapała Sagana za grzbiet i potrząsnęła nim energicznie.

– Zostaw mnie! – Ogier nie był wcale spokojniejszy od Antałek. – Nic się nie da zrobić. Pilnuje ją cała dekuria, a za nie więcej niż pół godziny zawisnie na tamtym drzewie! – Wskazał na wystający ze środka placu suchy pień.

– Dobra, mam pomysł. – Klacz podjęła decyzję, musiała coś zrobić, bez względu na to, o co oskarżona była Sunny, musiała jakoś ją z tego wyciągnąć. Przyzwyczajona do częstych narzekañ Sagana, nawet nie zwróciła uwagi na jego słowa. – Idź jak najszybciej do Lightning Dust i powiadom ją o wszystkim, nie wiem, czy coś to da, ale zawsze może okazać się pomocne. Ja spróbuję coś tu zrobić. Sama. – Rozejrzała się po placu. Tłum gęstniał z minuty na minutę. Za chwilę miała się rozpocząć głupawa przemowa obozowego zapiewajły, zaraz potem prawdopodobnie wyrok. Kilku legionistów przebiegło obok nich, dołączając do już kilkunastotysięcznego zbiorowiska.

– I niby jak mam ją znaleźć? – Ogier z dezaprobatą pokręcił głową. – Za dużo tu legionistów...

– Nie jęcz. Będzie gdzieś tam. – Antałek wskazała na przeciwległy kraniec placu, tuż koło wylotu alejki rozdzielającej namioty pegazów i kucyków ziemnych. – Zawsze się spóźniała, więc pewnie jeszcze nie przyszła. – Klacz na tyle często rozmawiała z Lightning,

żeby doskonale wiedzieć, gdzie powinna się teraz znajdować. Zbyt wiele razy wysłuchiwała jej narzekań.

Ogier coś zamruczał pod nosem, ale nie ociągał się dłużej i ruszył dookoła placu, przemykając tuż obok namiotów, gdzie nie panował tak wielki ścisk jak w centrum. Antalek posłała Saganowi ostatnie spojrzenie i ruszyła w przeciwnym kierunku, mieszając się z tłumem i wymijając otaczającą Sunny grupkę legionistów. Trzeba było być jak najbliżej tej sceny, jeśli chciało się w jakikolwiek sposób przeszkodzić w egzekucji. Tylko jak to zrobić? I co dalej?

Lightning Dust z rosnącym niezadowoleniem wpatrywała się we wciąż pustą scenę. W całej armii nie było chyba nikogo, kto lubiłby poranną odprawę. A dziś nie dość że jak od dłuższego już czasu wiał huraganowy wiatr, to jeszcze zrobiło się nieprzyjemnie zimno. *No, gdzie ten pajac?* Rozejrzała się w poszukiwaniu wrzeszczącego codziennie głodne kawałki kucyka. *O, jest.* Na podwyższenie właśnie wdrapał się ciemnopomarańczowy ogier i z miną dumną jak paw popatrzył po zgromadzonych. Nie było jeszcze wszystkich legionistów. Jak zwykle brakowało niemal połowy 4 Legionu i części oddziału Yellow Spark. Prawdą było, że kto jak kto, ale jednorożce miały wyjątkowo kiepskie poczucie czasu.

– A gadaj szybko i daj się rozejść! – krzyknął ochrypłym głosem półżywy ze zmęczenia Red. Czuł się fatalnie, cały bok palił go niczym przypalany rozżarzonym żelazem, sierść pokrywały płyty piany, oczy przekrzywiły się, a przejmujący ból głowy skutecznie utrudniał orientację. – A jak nie, to spierdaj!

– Nie martw się. Jeszcze trochę nas tu potrzyma. – Jet potarła kopytem niewyspane oczy i ziewnęła przeciągle.

– Menda, pieprzyć będzie o walce za księżniczki, ale sam to chyba nigdy zbroi nie dotknął. – Serce przyspieszyło niebezpiecznie, ogier zaczął głośno dyszeć i chwiać się na nogach.

– Uspokój się! – Lightning spiorunowała go spojrzeniem. – Niepokoi mnie, że wciąż nie znaleźliśmy Sunny.

– Naprawdę? – szczerze zdumiała się Jet Set. – Zaskoczyłaś mnie. Myślałam...

– Zamknij ryj! – Jak ją irytowała ta przeklęta kremowa klacz. – Myślisz, że nic mnie ona nie obchodzi? – Jet pokiwała głową na znak, że właśnie tak myśli. Zaraz jednak wskazała kopytem w sam środek tłumy i zarechotała głośno.

– To przecież ten pijak. Stragan czy jakoś tak. Hehe, patrzcie jaką ma minę, jakby zerznął się w zbroję. – Przez gęstniejący wciąż tłum przedzierał się szary ogier z jasną grzywą i miną, jakby rzeczywiście zjadł coś niestrawnego. – Hej Stragan, nas szukasz?!

– Jesteście – wydyszał, rozpychając dwie rozmawiające klacze. – Złapali Sunny i chcą ją powiesić! – wypalił bez ceregieli.

Lightning Dust wytrzeszczyła na niego oczy w całkowitym zdumieniu, Red zaklął cicho i rozkaszał się koszmarnie, Jet Set przysiadła ze zdumienia i wlepiła się w ogiera.

– Ale... dlaczego? – Kremowa klacz nic nie rozumiała.

– Kurwa! Mówiłam jej, żeby nie bawiła się w te kretyńskie listy!

– Ciszej, do cholery! – Red spiorunował krzyczącą Lightning. Gdyby nie to, że ledwie mógł się poruszać, pewnie dałby solidnego kopa miętowej pegaz. – Złapali ją, teraz trzeba uważać, żeby nie zaczęli szukać tych, którzy jej pomogli – zniżył głos niemal do szeptu, co przy panującej wrzawie nie było wcale konieczne.

– Dobra, dobra. Spieprzyła sprawę. I co teraz zrobimy? – Lightning zaczęła przebierać kopytami, zwracając uwagę otaczających ich legionistów. – Sagan, skąd o tym wiesz?

– A czy to nie wszyst... – Red umilkł, widząc pełne niewysłowionej furii oczy dekurion. Lepiej było teraz nie wszczynać idiotycznej dyskusji.

– Znaleźliśmy ją z Antalkiem. Pilnował jej jakiś oddział. Dowódca powiedział, że zawiśnie zaraz po przemowie tego chuja.

– No to mamy mało czasu. Mało kuźwa czasu!

– Uspokójcie się! – Jet Set wepchnęła się między Sagana i Lightning Dust. – Musi być jakiś sposób, żeby ją wyciągnąć – Klacz wcale nie była wiele spokojniejsza od reszty. Nogi trzęsły się jej lekko, oczy latały po zgromadzonych, poczuła też nieprzyjemny ból brzucha. Nic zresztą dziwnego, Sunny była jedną z jej nielicznych dobrych znajomych.

– Już za późno, patrzcie, jest generał! – Red usiadł, nie mogąc dłużej ustać. Dyszał coraz głośniejsze, nie mogąc złapać tchu. – Cholera... zawiśnie!

– Typhoon jest? No pięknie! Sagan! – Lightning złapała ogiera za grzbiet. – Gdzie ją trzymają? W jakimś namiocie?

– A gdzie tam. Jest po przeciwnej stronie placu. Koło wylotu jednej z alejek. O, tam – wskazał kopytem za siebie w stronę flankowanej przez dwa pasiaste namioty ścieżki.

– I jak my się tam niby przedrzemy? – Red nie miał już sił rozwinąć skrzydła, a stojący wokół legioniści ścieśnili się już na tyle, żeby odebrać grupce resztki wolnej przestrzeni.

– Sagan, tak? Gdzie jest ta Antalek? – Jet Set pchnięta przez stojącego obok wysokiego, ponurego żołnierza niechętnie przywarła do boku Lightning. Dekurion nawet tego nie dostrzegła, wpatrując się we wskazane przez Sagana miejsce.

– A bo ja wiem. Powiedziała, że coś zrobi. I gdzieś poszła. – Ogier poprawił zsuwający się na oczy hełm. – Lightning, co robimy?

Po placu rozszedł się wysoki głos wrzeszczącego ze sceny ciemnopomarańczowego ogiera. Większość zgromadzonych nawet nie zwróciła na to uwagi i dalej rozmawiała o wszystkim i o niczym.

– Cokolwiek! – Jet Set miała dość częściej dyskusji. Trzeba było jak najszybciej działać, wpaść na scenę, przyłożyć dupkowi i... Nie miała pojęcia, co miałyby to dać, ale coś musiała zrobić. Gadanina w niczym nie pomoże Sunny. – Idźmy do tych, co ją pilnują i dajmy po ryjach. Albo nie. Coś innego! Ale ruszmy się wreszcie! – Nie mogła dłużej wytrzymać wśród rozgadanego, niczego nieświadomego tłumu. Jet Set nie interesowało nawet, czemu Sunny ma zawisnąć, nie miało to teraz żadnego znaczenia. Trzeba było ją ratować. Wystawione kopyto Lightning powstrzymało ją od rzucenia się w tłum.

– Gdzie lecisz? – Miętowa wyglądała na równie przejętą, ale udało się jej powstrzymać emocje na trochę dłużej. – Obijesz strażników i co? Skończysz na gałęzi!

– No to co...

– Nie, słuchacie, co... mówię! Nic się nie da zrobić! Za późno.

– Milcz, Red. – Lightning też chciała działać, ale nie miała pojęcia jak. Z każdą jednak minutą coraz bardziej bała się, że czerwony ogier ma rację. Cóż mogli poradzić? Był tu obecny sam Typhoon, co raczej się nie zdarzało, byli strażnicy. Tylko kompletny szalaniec mógłby rzucić się do odbijania więźnia w takich okolicznościach.

– Może Antalek coś zrobi? – Sagan z nadzieją w głosie wpatrzył się w podwyższenie. Nie wierzył w to, ale co innego pozostało?

Grupka zwróciła się na scenę w oczekiwaniu na koniec mowy dupka. Ogier skończył wreszcie swą wątpliwie interesującą przemowę i zszedł ze sceny, ustępując miejsca jakiemuś pegazowi. Charakterystyczny, krótki pióropusz na jego hełmie wskazywał na jakiegoś oficera.

– Co to za pajac? – Sagan spojrzał z niepokojem na Lightning Dust. Tego jeszcze nie było. Po ciemnopomarańczowym ogierze, nikt chyba nie znał jego imienia, nikomu zresztą na tym nie zależało, powinien pojawić się oficer dyżurny z durnym rozkazem rozejścia się. – Ten śmieć chce wieszać Sunny?

– Pewnie tak – syknęła miętowa klacz przez zaciśnięte zęby. O ile większość starszych stopniem darzyła większym bądź mniejszym szacunkiem, o tyle tego, który

właśnie dumnie wkroczył na podwyższenie, nie znosiła z całego serca. Znany był w całym legionie pegazów jako jeden z największych oportunistów i drani. – To Lance, jeden z większych skurwieli w jednostce.

– No to pięknie. Ten kutas pewnie za wszystkim stoi. – Jet Set nie kryła swojej złości, budząc tym zainteresowanie stojącej obok klaczy. – Co się, kurwa, gapisz! – Przestraszona odwróciła głowę, widząc gniew kremowej pegaz.

– Legioniści! – ociekający przesadnym przekąsem i ohydą pompatycznością głos centuriona Lance’a rozbrzmiał nad głowami zgromadzonych, rozchodząc się daleko pośród opustoszałego obozu. – Przybywam do was z wielce zasmucającą wiadomością! W trakcie naszej podróży padliśmy ofiarą najstraszniejszego z możliwych przestępstw! Jedna z nas...

– Skurwieli. – Sagan odwrócił głowę, usiadł ciężko, ledwo mieszcząc się w ciasnocie i zatkał uszy kopytami. Nie mógł dłużej wytrzymać paskudnego głosu Lance’a.

– No to po wszystkim. – Red pokręcił głową z rezygnacją. Słyszał niejedno o tym Lance, jeżeli on był w to zamieszany, to Sunny nie miała prawa przeżyć.

– Przestań, do cholery! – Jet Set też przysiadła, nie mogąc znieść głosu centuriona i wpatrzyła się w zakurzoną ziemię. Nie tak miał wyglądać ten dzień. Dziś mieli dotrzeć pod mury Canterlotu, powinno być w miarę luźno, żeby żołnierze wypoczęli przed walką, a tymczasem takie coś. – Lightning, co ona w ogóle zrobiła? – Musiała się dowiedzieć.

– Później. – Dekurion nie odrywała wytrzeszczonych oczu od podwyższenia i znienawidzonego centuriona. *Zabiję cię, sukinsynu.* Olbrzymia złość ogarnęła klacz, tłumiąc wszystkie inne uczucia, maskując cały otaczający ją świat.

Lance zaczął żywo gestykulować, z każdą chwilą wzbudzając coraz większe zainteresowanie zgromadzonych żołnierzy. Coraz to nowe głodne frazesy ulatywały w tłum, rozbudzając wśród legionistów rosnące z każdą chwilą oburzenie i nienawiść do “zdrajczyń”. Podniosły się głosy, by jak najszybciej stracić szpiegującą 2 Armię Sunrise, szerzej znaną jako Sunny.

Nad zgromadzonymi przeleciał pegaz. Lightning zwróciła na niego swój morderczy wzrok. Rozpoznała go. To była generał Lightning Contrail. Zakręciła ostro nad podwyższeniem i wylądowała w miejscu, przed stojącym dumnie na skraju placu Typhoonem. Mało który pegaz potrafił wylądować tak sprawnie na dużej prędkości. Umysł miętowej zalała fala nadziei. A nuż obdarzona niechęcią większej części armii generał postanowi zrobić na złość Typhoonowi? Wszyscy wiedzieli, jakie panują nastroje pośród najwyższego dowództwa.

Dekurion wyciągnęła szyję najwyżej jak tylko mogła, chcąc dojrzeć rozmowę generałów. Niestety, rozwrzeszczani legioniści zasłaniali jej wszystko prócz przekłętego centuriona Lance’a. Brutalnie rozepchnęła stojących obok Jet, Sagana i opieprzoną przez kremową klacz za zbytnią ciekawość pegaz. Rozpostarła skrzydła i odbiła się od ziemi,

wznosząc dosłownie na kilka metrów nad ziemię. I tak dużo ryzykowała, latanie podczas odprawy było surowo zakazane, podobnie zresztą jak podczas marszu. Lightning była przekonana, że ten kretyński przepis wymyśliły zazdrosne jednorożce.

Contrail stała przed Typhoonem i wyraźnie rozsierdzona gwałtownie gestykulowała skrzydłami. Pegaz, słuchając niewątpliwie nieprzyjemnej przemowy generała, wyglądał jakby właśnie rozdeptał wyjątkowo paskudnego robaka. Krzywił się coraz bardziej z każdym słowem Lightning, wykręcał szyję, jakby nie mógł znieść widoku swojego dowódcy.

Tymczasem na scenę wprowadzono Sunny w towarzystwie jakiegoś zakapturzonego jednorożca. Kata. Podwyższenie było tak małe, że chcąc nie chcąc, Lance musiał zejść, ustępując miejsca dwójce. Nad zebranymi przeleciał kolejny pegaz, lecący wprost na spotkanie Typhoona. Lance, który właśnie dostrzegł z niepokojem interweniującą Contrail, posłał swojemu dowódcy pytające spojrzenie. Zdrajczyni musiała zawisnąć, inaczej może się pożegnać z szybkim awansem na trybuna. Nie czekając na rozkaz, machnęła kopytem na kata, rozkazując niezwłoczne wykonanie wyroku.

Tłum umilkł niemal całkowicie, w skupieniu obserwując rozgrywającą się scenę. Nieczęsto zdarzało się, żeby na ich oczach kłóciła się dwójka generałów, nieczęsto też wieszano zdrajców. Kolejny pegaz wylądował przed generałem Typhoonem.

– Co tam się dzieje? Lightning, widzisz coś? – Sagan zaczął wyciągać szyję, rozglądając się na boki. Spróbował nawet stanąć na chwilę na tylnych nogach, ale szybko musiał tego zaniechać.

– Generał Contrail i jakiś typ kłóć się z Typhoonem. Zaraz... To chyba jakiś totumfacki księżniczka. Ma taki ryngraf...

– Wy patrzcie lepiej na scenę! Cholera, już za późno! – Red podniósł się z ziemi, nie zważając na przeszywający jego bok ból.

Wydobywająca się z rogu kata czerwona poświata otoczyła siedzącą na podwyższeniu Sunny. Klacz z przerażeniem rozejrzała się dookoła rozszalałym wzrokiem, chciała coś zawołać, ale przeszkodził jej mocno zawiązany knebel. Pegaz uniosła się na kilka metrów nad ziemię i zawisła naprzeciw zwisającej z gałęzi liny. Drugi promień wyczarowany przez jednorożca uchwycił sznur, przełożył go przez głowę Sunny i zacisnął na szyi.

– Lance, ty gnoju! – Jet chciała się zerwać do lotu. Rozłożyła skrzydła podobnie jak Lightning, rozpychając stojących wokół legionistów, i odepchnęła się od ziemi. W ostatnim momencie zatrzymał ją Red, łapiąc zębami za koniec związanego w warkocz, dwukolorowego ogona. – Puszczaj! – krzyknęła, zwałając się na plac i wbijając w powietrze pył.

– Siedź na rzyci i milcz, Jet! – Z głosu ogiera wyczytała złość i... strach? Chyba tak. Czerwony pegaz rozkaszał się naraz i puścił ogon klaczy. Nie próbowała już więcej startować. Nie miało to żadnego sensu.

Naraz do uszu zgromadzonych zaczęły dochodzić ciche odgłosy kłóącego się dowództwa. Krzyki generał Contrail i tubalny bas totumfackiego rozeszły się po umilkłych nagle żołnierzach.

– Dopuściła się przestępstwa i poniesie tego konsekwencje. – Typhoon posłał Lightning Contrail pełne pogardy spojrzenie i ledwo dostrzegalnie dał znak Lance'owi.

– Nawet nie waż się... – Klacz nie dokończyła.

Czerwona poświata otaczająca ciało Sunny zniknęła. Klacz poleciała w dół, ale zaraz zatrzymała się na trzeszczącym z nagłego napięcia powrozie. "Zdrajczyni" zakołysała się na skrzypiącej linii kilka metrów nad drewnianym podwyższeniem. Z zasuszonej gałęzi posypały się drzazgi. Sunny umarła natychmiast. Napięty sznur przerwał od razu rdzeń kręgowy, przedwcześnie kończąc życie młodej pegaz.

Lightning zleciała z nieba i ciężko gruchnęła w ubitą ziemię. Red zamknął oczy i pokręcił tylko głową, Jet zaczęła kłąć dosadniej niż kiedykolwiek wcześniej. Sagan nic nie powiedział, patrzył tylko ze smutkiem na scenę. Patrzył na Lance'a i Typhoona i przysięgał sobie, że ubije obydwu, kiedy tylko nadarzy się taka okazja. Jego wzrok spotkał się z Jet Set. W ich oczach dostrzec można było ten sam gniew i złość, desperację i szaleństwo. Skinęli jak na komendę głowami, rozpoznali swoje myśli bez słowa.

Dwójce dowódców udało się osiągnąć coś niesamowitego i zupełnie niezamierzonego. Oto kucyk ziemny postanowił pomścić śmierć pegaza, swojego przyjaciela. W tych strasznych czasach wszechobecnego rasizmu pojawiły się załączki międzyrasowej solidarności i porozumienia. Zapowiedzi czegoś, co było najgorszą obawą equestriańskiej szlachty. Dnia, w którym kucyki ziemne, jednorożce i pegazy zjednoczą się, by razem zniszczyć wypracowany przez setki i tysiące lat ład i porządek. Dnia, w którym na zawsze z państw zniknie monarchia, w którym zniszczone zostaną największe rody szlacheckie, w którym na zawsze wygnane zostaną księżniczki.

Cichy, ale denerwująco monotony stukot oderwał siedzącego za stołem kuczka od lektury leżących przed nim papierów. Obszerna, słabo oświetlona komnata robiła za jego tymczasowy gabinet już dobrze ponad rok, ale dopiero od niedawna w pomieszczeniu tym czuć dało się zapach podejmowanych ważnych na skalę światową decyzji. Ogier siedział za starym, trzeszczącym i mocno rozklekotanym biurkiem. Jego drewno poczerniało ze starości, dziesiątki delikatnie inkrustowanych drzwiczek wypaczyło się pod najróżniejszymi kątami, a rzeźbione w pnie drzew nogi powykrzywiały się, dopełniając obrazu zdewastowanego dziedzictwa jednego z najbogatszych rodów Equestrii. Malowane w kwietne motywy ściany poszarzały, podobnie jak czerwono-bordowy sufit. Jedynie

przedstawiona w centrum fresku księżniczka Celestia oparła się próbie czasu, zachowując biel swojej sierści.

Wbity w późniejszym czasie w ścianę naprzeciwko wejścia i niepasujący do reszty wystroju, zielono-lazurowy piec kaflowy delikatnie ogrzewał całe pomieszczenie. Zza zasłaniających palenisko żeliwnych drzwiczek wysypywał się nieuprzątnięty popiół, brudząc pociętą i pooraną dziesiątkami kopyt podłogę. Przez pobrudzone i pozasłaniane grubymi zasłonami okna nie wpadał ani jeden promyk światła, tworząc tajemniczy, ciemny nastrój.

Do niedawna mieszkanie w jednej ze stojących przy rynku Fillydelphi kamienic wynajmował jakiś podejrzaný cyrulik. Właścicielem całego budynku była pewna rodzina, która miała na tyle dużego pecha, żeby w chwili pierwszego większego buntu proletariackiego znaleźć się w samym centrum Canterlotu. Jak nietrudno się domyślić, właściciele nie przeżyli spotkania z rozzłoszczonym tłumem, a ich dobra w świetle prawa przeszły na skarb państwa. Jakiś czas później budynek został zajęty przez wojska rebeliantów i przekształcony w tymczasową kwaterę główną operujących w rejonie Fillydelphi oddziałów. Kamienica okazała się jednak na tyle wygodna, że nikt nie miał zamiaru jej opuszczać i szukać nowego lokum.

Denerwujące pukanie powtórzyło się po raz kolejny, wrywając ogiera z głębokiego zamyślenia. *A cóż to znowu?*

– Proszę wejść! Proszę wejść i przestać wreszcie łomotać! – Zapracowany ogier zwinął leżący przed nim zwój i kątem oka zerknął na wchodzącą postać. – A, to pan, panie Hooch. Proszę wejść. Byle szybko, jestem zajęty.

– Dzień dobry, panie Dreary. – Ogier podszedł bliżej i uklonił się niedbale. Był bodaj najmniej kolorowym kucykiem w kraju. Jasnoszara sierść, ciemnoszara grzywa i czarne, wiecznie znużone oczy. Całości dopełniał niepozostawiający wątpliwości co do jego specjalnego talentu znaczek, przedstawiający rozbudowaną aparaturę do pędzenia bimbru z demonstracyjnie dużą chłodnicą destylacyjną. Dobry był z niego zausznik, oddany sprawie, jeden z niewielu, który jeszcze w miarę rozumiał otaczający go burdel. Pochodził zdaje się z rodu Fling. Tak, na pewno, Dreary kilka razy słuchał już historii, jak to jego rodzina dorobiła się na pędzeniu nielegalnego alkoholu tuż pod bokiem Celestii. – Przyszły wiadomości od pana Marvelousa.

– Ile żołnierzy mu zostało? – Dreary nawet nie podniósł wzroku na zdziwionego jego domyślnością Hoocha.

– To pan już wie, co stało się pod Hydashoofem? – Zdziwiony spojrział na swego dawnego znajomego, dziś przełożonego. Starszy już jednorożec o kruczoczarnej, wciąż jeszcze bujnej grzywie, nigdzie niezbrukanej siwym włosiem i lśniącej zielonej sierści. Ten drań też musiał mieć szlacheckie pochodzenie, zbyt porządnie wyglądał. Hooch jednak mimo ich długiej znajomości nigdy nie poznał prawdziwego pochodzenia jednorożca.

– A czyż to nie oczywiste? – odpowiedział pytaniem Dreary i po raz pierwszy utkwiał swój wzrok w rozmówcy. Podrapał się po głowie w okolicy rogu i rozmasował zeszytniały grzbiet. *Może trzeba by się na chwilę oderwać od pracy, żeby się zbyt nią nie zafiksować?* – Nie pisał od dłuższego czasu, nie dawał znaku życia. Bał się. Gdyby rozbił wojska księżniczek, już dawno dostalibyśmy o tym informację.

– No tak... – Hooch uśmiechnął się głupio w nieumiejętnej próbie zamaskowania swego zakłopotania. – Proszę, jego list wraz ze wszystkimi szczegółowymi danymi. – Położył przed jednorożcem zwiniętą w rulon kartkę.

Dreary podniósł ją magią i wczytał się z zainteresowaniem w treść. Miał nadzieję na jakieś wykresy, tabele czy choćby najzwyklejsze wykazy stanu armii. Zawsze najbardziej go interesowały. Znalazł coś interesującego.

– No proszę, ostro ich przetrzepali. – Pokiwał głową z uznaniem dla wojsk władczyń. Byłych władczyń. – Przynajmniej coś udało się uratować, a już spisałem Marvelousa na straty. Siedem tysięcy ocalało i kieruje się w stronę Stalliongradu... Ciekawa sytuacja. O, haha – zaśmiał się, szczerze ubawiony. – Czytałeś to? – Hooch pokiwał głową. – Wyborne, niejaki Welter, wieśniak spod stolicy, próbował przejąć dowództwo nad całą armią. Dobrze. Ale, jak widzę, zdechł na polu bitwy. Świetnie, będziemy mieli kolejnego poległego w walce z tyranem bohatera.

– Już się tym zająłem. – Hooch wypiął dumnie pierś. – Jutro napiszą o nim w Głosie Nowej Equestrii.

– I bardzo dobrze. Widzisz, w każdej porażce należy upatrywać i dobrych stron. A jak tam z... a nieważne, jest tutaj. – Wczytał się dokładnie w jeden z dłuższych akapitów. – Píše, że sprawa Goldenrod została zakończona pomyślnie. Czy zostało to potwierdzone?

– Jeszcze nie, wciąż czekamy na wiadomości z 2 Armii. – Hooch podszedł bliżej biurka i pochylił się z uśmiechem nad Drearym. – Czyż nie wspaniale zostało to przeprowadzone?

– A jeszcze do tego nie doszedłem, czekaj chwilę. – Jednorożec ponownie powrócił do lektury listu, a Hooch popadł w głębokie zamyślenie.

Pomysł z wysłaniem niewygodnej klaczy wprost do Canterlotu, pod zwierzchność Marvelousa, narodził się w jego szarej głowie. Czuł się teraz wcale dumny, że jego koncepcja niemal bezbłędnie wypaliła.

– Ochrona tyłów wycofujących się wojsk i heroiczna śmierć z ręki przeważających sił wroga. Genialne! Wypieprz tego kretyna Weltera z gazet, ona zasługuje na pierwszą stronę! Oto prawdziwy bohater, jakiego potrzebują szarzy mieszkańcy Equestrii.

Hoochowi mina nieco zrzędała. Z niepokojem spojrzał na Dreary'ego i głośno przełknął ślinę. Nerwowo zamachał ogonem.

– Czy to aby nie nazbyt lekkomyślne? Pamiętajmy, że mówimy tu o Goldenrod. Jednej z przywódczyń. Najniebezpieczniejszej postaci w naszym kręgu. Nie wiemy, jak zareagują kucyki ziemne na wieść o jej śmierci. Mogą to źle zinterpretować. Wciąż też nie mamy potwierdzenia jej śmierci.

– Bez przesady. Bohaterska śmierć będzie tu na pierwszym miejscu, a kto śmie twierdzić, że została w to w jakikolwiek sposób wrobiona, kala jej dobre imię! – Zerwał się z miejsca i z trzaskiem uderzył przednimi kopytami o blat biurka, w udany sposób parodiując liczne wystąpienia Eldest Rantera. Zaśmiał się głośno z udanego żartu i opadł znów na miejsce. Hooch zawtórował mu usłużnie. – Poza tym rzeczywiście to, co zrobiła było wcale odważne.

– Tak, teraz możemy się śmiać, ale jak nagle jakimś cudem ożyje i zacznie miotać się po kraju, to przestanie być tak miło.

– Ej, Hooch, zdaje się, że ty wciąż, wybacz szczerze, masz gówniane pojęcie o polityce. Jakie, powiedz mi, to ma znaczenie, czy przeżyła, czy nie? Ja mówię, że zginęła bohaterską śmiercią, a ten, kto stara się pod nią podszyć, jest zwykłym ściervem liczącym na własny zysk. Postawimy jej jakiś pomnik, może nazwiemy jej imieniem kilka ulic albo mostów. Nowy statek zasilający wspaniałą flotę Nowej Equestrii, albo i coś jeszcze innego? Nie rozumiesz? Dołączy do panteonu bohaterów i z czasem już nikt, nawet świadom jej powrotu, nie będzie chciał jej stamtąd ściągnąć i przywrócić do życia.

To ty, idioto, masz gówniane pojęcie... – Hooch zmrużył oczy, nie mogąc uwierzyć w słowa Dreary’ego. Jednorożec od początku działał zbyt spontanicznie, nigdy nie potrafił myśleć nad czymś dłużej niż kilka godzin. Nie odezwał się jednak więcej w tej sprawie, zamiast tego postanowił nieco rozluźnić atmosferę.

– Mam nadzieję, że pańska teoria w istocie się sprawdzi, bo jeżeli nie, to *Celestio miej nas w swej opiece!* – zawył, udając niespełna umysłu kuczka ziemnego wznoszącego modły do pani Słońca. Ogiery zarechotały jak na komendę.

– Tak, a skoro już jesteśmy przy księżniczkach, to co z Cadance?

– W jakim sensie? – Hooch uśmiechnął się głupio.

– W politycznym, w politycznym.

– Wciąż nie chce z nami rozmawiać. Nie przyjmuje naszych emisariuszy, nie odpisuje na listy. Ignoruje wszystkie próby kontaktu. – Hooch pokręcił z niezadowoleniem głową. Cadance okazała się wyjątkowo trudna w kontaktach, bardzo mu się to nie podobało.

– Gra. Czeka, która ze stron okaże się silniejsza i poprze tę drugą... – Dreary pokiwał głową, po raz kolejny wprawiając w zdumienie szarego kuczka.

– Nie poprze nas. Jest za bardzo związana z księżniczkami, żeby je zdradzić. – *Jego pewność siebie kiedyś nas zgubi...*

– Niekoniecznie. Kryształowe Imperium, jak wiesz, jest jedynie protektorem, cała jego polityka zależy od humoru miłośniców nam panujących sióstr. Ale teraz Cadance ma szansę usamodzielnić się, zrzucić z siebie zwierzchność Celestii i Luny. Ale mniejsza z tym. – Przejrzał kilka rozrzuconych na biurku papierów. Wciąż denerwowała go nierozwiązana sprawa RKZ-u. Przekłety priorytet, z którym nikt nie mógł sobie poradzić. – Nadal żadnych pozytywnych wieści o RKZ-cie?

– Niestety... Zniszczyliśmy tylko nieliczne placówki. Cała reszta albo jest zbyt silna, albo zwyczajnie się pochowała. – Hooch też robił się coraz bardziej niespokojny. Zwłaszcza wstrząsnęła nim informacja, jakoby RKZ skupiał wokół siebie trzecią część rebeliantów. To więcej niż którykolwiek z samowolnych namiestników czy trybunów, więcej nawet niż on i Dreary. Przekłety ruch był wszechobecny, niemal w każdym mieście equestriańskim można było znaleźć co najmniej jedną ich placówkę. Ale dało się pokonać tę bestię. Wystarczyło odciąć jej łeb, wyróżnić placówki spełniające rolę centrów organizacyjnych. Pozbawiony ich tłum stanie się zupełnie nieszkodliwy.

– To trwa stanowczo zbyt długo! – Jednorożec zerwał się z miejsca, po raz kolejny uderzając z mocą w biurko, teraz jednak nie przedrzeźniając nikogo. – Czy ci idioci nie rozumieją, że to oni są teraz największym zagrożeniem? Większym niż te zaszranie księżniczki? Zamiast zająć się RKZ-em, eksperymentują sobie i wywołują epidemie. – Sfrustrowany Dreary podszedł do okna i wyjrzał na ciemny rynek Fillydelphi. – Trzeba jak najszybciej się ich pozbyć. I nic mnie nie obchodzi jak, zwyczajnie mają przestać istnieć... – *Czy ten kutas naprawdę uważa, że mamy cokolwiek do powiedzenia na terenach innych prowincji?*

Wielu z nowych namiestników nieco zbyt energicznie zaczęło swoje rządy, rozpoczynając naraz nagle zbrojenie, rozbudowę infrastruktury i nauki. Miało to wręcz katastrofalny wpływ na gospodarkę i tak ledwo trzymającego się kupy państwa. Dziesiątki nowo nadanych ceł skutecznie utrudniały handel między słabymi i zubożałymi quasi-państewkami. Jednocześnie wciąż rosnące wydatki zmuszały mieszkańców do morderczej pracy nad coraz to nowymi kaprysami władcy.

– Nie odpowiada Stacja 7 – cichy głos Hoocha rozbrzmiał w pokoju. Dreary zamarł w miejscu, wciąż wyglądając na zewnątrz.

– Kiedy miałeś zamiar mi o tym powiedzieć? – warknął, odwracając się nagle i piorunując szarego wzrokiem.

– Dopiero dziś dostaliśmy informacje... – Hooch zatrząsł się i odsunął od niebezpiecznie iskrzącego się rogu Dreary'ego.

– Jak to: nie odpowiada? Kurwa! Coś musieli spieprzyć! – Ogier starał się raczej nie kłąć, ale tym razem nie mógł się powstrzymać. Od kilku miesięcy na jego oczach całe

państwo rozsypywało się w drobny pył. Miał dość ciągłych niepowodzeń. – Czyli po kilku projektach... Trzeba bezzwłocznie wysłać tam jakiś oddział do zabezpieczenia całości. Rozumiesz?

Hooch pokiwał żwawo głową, ciesząc się, że niewygodny temat mają już najprawdopodobniej za sobą. Tyle że teraz czekało go stworzenie drużyny i wysłanie jej w podróż do Stacji 7, a żaden będący przy zdrowych zmysłach kucyk mnie zgodzi się na takową.

– Myślę, że omówiliśmy już najważniejsze kwestie. – Dreary usiadł na powrót za biurkiem. – Hooch, zajmij się Stacją i przede wszystkim tym przeklętym RKZ-em. Ja muszę wreszcie zabrać się za te papierzyska. – Wskazał niechętnie na zwały zwojów i luźnych kartek walających się po pulpicie.

Szary kucyk zrozumiał aluzję i wycofał się, zatrzaskując za sobą stare drzwi. Jednorożec odetchnął i położył zmęczoną głowę na biurku. Cała ta afeta z rebelią zaczęła go przerastać. Był tego świadom, ale chciał jeszcze coś zdziałać, nim cały ten burdel rozleci się jak domek z kart.

Zbliżało się południe, gdy dwaj wędrowcy postanowili wreszcie udać się na chwilowy spoczynek. Ledwo żywi ze zmęczenia zwalili się pod zwisającymi nisko nad ziemią gałęziami świerku. Drzewo było wielkie. Gruby pień podtrzymywał dziesiątki pełnych ciemnozielonych igieł konarów, spadających tuż nad zasypaną zbrązowiałym igliwem wąską ścieżką. Mieszany las był wyjątkowo ciemny. Rosnące po bokach świerki i przede wszystkim jodły nie przepuszczały wiele światła przez swe pełne gałęzie. Wszechobecna woń żywicy umilała podróżnym wyjątkowo nieprzyjemny marsz. Boleśnie przekonali się o tym, jak kiepskim pomysłem było leżenie wśród szalejących płomieni.

Goldenrod, ledwo żywa ze zmęczenia, zrzuciła ciężące jej juki i oparła się ciężko o pień starego drzewa. Nie zwróciła nawet uwagi na to, że spływająca po nim świeża żywica przykleiła się do jej sierści i wysłużonego pancerza. Oparta wygodnie o spękaną korę, przewróciła głowę i wpatrzyła w głęboką zieleń prastarego lasu i gdzieś tam prześwitującą szarość nieba. Skóra paliła ją niemiłosiernie, przypalona żarem płonącej łąki, czuła też potworną suchość w gardle i ogólne skutki wyczerpania.

Polana spaliła się niemal doszczętnie, pozostawiając po sobie czarne, sięgające niemal horyzontu pogorzelisko. Podróżowanie między zwęglonymi, ledwie wystającymi z ziemi resztkami żdźbeł było jednym z przykrzejszych doświadczeń Goldenrod. Ostro zakończone ściernisko paskudnie raniło odsłonięte pęciny, zostawiając w ciele trudne do wyjęcia drzazgi. Sierść pokrył pot wsiąkający z wolna w brudną i potarganą niegdyś czerwoną tunikę, założoną zaraz pod ciężką zbroją.

– Ale się zmęczył tym snem... – Equinox rozłożył się tuż obok kłaczy i nieświadomie oparł ciężącą mu głowę o jej bok. Czuł głośno bijące serce Goldenrod i jej

szybki, urywany oddech. Nie miał sił się podnieść i wcale nie chciał. Opieranie się o towarzyszkę okazało się wcale przyjemne.

– Trochę... kiepskie miejsce wybraliśmy – zgodziła się z grymasem na pyszczku, rozmasowując wciąż bolące żebra. – Ale jesteśmy coraz bliżej Stalliongradu.

– Mam nadzieję. Ile to jeszcze drogi? – Podniósł oczy i z zadowoleniem wpatrzył się w śnieżnobiałą klacz.

– Jakies dwa dni, jeśli się pospieszymy. Ale w tym stanie... Cholera, nie mamy już co pić. – Juki były niemal puste. Nie licząc oczywiście zebranego żelastwa, które mieli gdzieś przehandlować. – Zauważyłeś, jak mało karawan do tej pory minęliśmy?

– Unikamy głównych szlaków – stwierdził trzeźwo Equinox. – Trudno tu o duży ruch.

– Mimo wszystko. Do tej pory spotkaliśmy tylko jedną i to dość nędzną. Takimi ścieżkami zawsze ktoś podróżował, choćby po to, żeby uniknąć płacenia myta. – Goldenrod, kiedy jeszcze była mała, zwiedziła w ten sposób kawał świata. Pamiętała, jak jej ojciec co chwila narzekał na złodziejskie stawki nałożone przez państwo.

– Może przez wojnę? – zaryzykował pomarańczowogrzywy ogier. – Nie ma czego sprzedawać?

– Że niby popytu nie ma? On jest zawsze. Myślę, że chodzi o coś innego. Cło. Cholera, tak. Skoro jest aż tak źle, to musiało nieźle pójść w górę. Wiesz, co to oznacza? Że pazerni namiestnicy nałożyli złodziejskie podatki nie tylko za przewóz towarów, ale i za przekroczenie granicy. Sukinsyny, wszystko się posypało...

– Yyy... Co? – Equinox zrobił wyjątkowo głupią minę. Nie rozumiał, o co chodzi klaczy i czemu ktoś miałby cokolwiek nakładać? Po co?

– Nie słyszałeś, co mówiłam? – Goldenrod popatrzyła w dół na wciąż wtulonego w jej pierś ogiera. – Weź zabierz wreszcie ten łeb – zdenerwowała się. – Mam rozpieprzone żebra, a ty na nich leżysz!

Ogier ze smutkiem i sporym trudem uniósł się i oparł o pień drzewa.

– Zrozumiałem... – skłamał, ale nie chciał drażnić tematu, którego i tak by nie zrozumiał. Zamiast tego wołał zapytać o coś, co nurtowało go od dawna. – Goldenrod, od dłuższego czasu już podróżujemy, a ja nadal nie wiem o tobie wielu ciekawych rzeczy. Jak to się właściwie stało, że znalazłaś się w niewoli i skąd w ogóle wzięłaś się w tej armii?

Klacz potrząsnęła lekko głową i uśmiechnęła pod nosem. Wreszcie się o to zapytał, już od jakiegoś czasu chciała wyrzucić z siebie trawiącą ją od dawna gorycz, a czy był lepszy sposób niż opowiadanie o wszystkim towarzyszowi podróży? Prawdopodobnie był, ale do tej pory inny nie przyszedł jej do głowy.

– To dość... długa historia. I pogmatwana. Opowiem ci w drodze. – Z trudem wstała i zarzuciła na grzbiet juki. Ogier zajęczał cicho z niezadowolenia, ale ciekawość kazała mu szybko się podnosić i podążyć za jednooką klaczą. Wciąż utykając, na trzech nogach ruszył jej śladem, z żalem spoglądając na chłodny pień i wygodną, acz lekko kłującą iglastą ściółkę.

– Więc? – Zrównał się z klaczą i z nadzieją wpatrzył w jej błękitne oko.

– To może ja pierwsza zadam ci pytanie. Wiesz ty w ogóle, co dzieje się w naszym kraju?

– No, wojna jest. – Spojrzał na klacz jak na idiotkę. – To, że jestem ze wsi...

– Spokojnie – uśmiechnęła się, przerywając ogierowi. – Chodziło mi o bardziej... profesjonalne, dokładne rozeznanie.

Zapadło długie, niezmącone nawet szmerem lasu milczenie.

– Czyli nie wiesz – skwitowała. – Więc wiedz, że dzieje się źle. Działo się źle i źle będzie się dziać.

– Myślałem raczej o jakiejś opowieści. – Equinox zrobił zawiedzioną minę.

– To był wstęp! – zganiła go Goldenrod. – Ale jak chcesz. Musisz jednak wiedzieć, co było przyczyną mojego pojmania, co było przyczyną całej tej harataniny.

– No ten, Ranter natchnął kucyki do walki z wyzyskiem...

– Nie przerywaj. Nie masz pojęcia i już. On był tylko pretekstem. Widzę, że muszę wyłożyć ci wszystko od początku, bez tego nie zrozumiesz, co spotkało mnie.

– Niech będzie. Już ci więcej nie przeszkodzę – zapewnił ogier. Klacz już chciała palnąć, że właśnie to zrobił, ale poniechała.

– Jak wiesz, kraj nasz podzielony był na czternaście prowincji, zarządzanych przez wyznaczonych przez władczynię namiestników. Zazwyczaj były to jednorożce, czasem pegazy, bardzo rzadko kuce ziemne. Było tak od niepamiętnych czasów, nikt nigdy tego nie zmieniał, nikt żadnych zmian nie chciał. Było dobrze, jest dobrze, więc po co cokolwiek zmieniać? Tak myślano przez wieki i niech mnie cholera, jeśli nie mieli racji.

– Potem pojawił się niejaki Eldest Ranter. Podobno jakiś filozof z Fillydelphi. Miał wizję, piękną i nierealną. Wizję, w której wszystkie kucyki były równe, same decydowały o swoim losie, same wybierały swoich władców. Zamyśl ten był tak piękny, że natchnął dziesiątki i setki tysięcy kucyków do działania. Do walki o swobodę i równość. W całej tej masie naturalnie największą liczbę stanowiły kuce ziemne, zresztą nieważne...

– Zaczęły się demonstracje, zamieszki, walki uliczne ze strażą. Coraz więcej mieszkańców przyłączało się do Eldesta. Część tylko po to, żeby pobić się z wojskiem, część, żeby obrabować lokalny sklep albo zgwałcić jakąś “monarchistkę”, jak zaczęto określać wciąż wierne księżniczkom kucyki. W tym czasie ja i mój ruch siedzieliśmy niemal zapomniani przez świat w jakiejś przeklętej norze i pisaliśmy nędzne broszurki.

– Goldenrod. – Equinox nie zważał na gniewne syknięcia klaczy. – Ciągłe mówisz “mój ruch”. Nie mieliście nawet własnej nazwy?

– Co? Mieliśmy – przyznała z niechęcią. – Ruch Kuców Ziemnych – wypaliła przez zaciśnięte zęby. – Nie ja to wymyśliłam – dodała po chwili. – Ale w skrócie mówiono na nas RKZ. Mniejsza z tym.

– Ku ogólnemu zdumieniu po kilku tygodniach głośnych demonstracji księżniczki przystały na część żądań narodu i obwołały Eldest Rantera trybunem. Zapowiedziały też, że niezwłocznie pojawią się kolejni wybrani z innych większych miast Equestrii. Niestety, chciano dobrze, a wyszło jak zwykle. Demonstrantom to nie wystarczyło. Poczawszy od Baltimore, a skończywszy na samym Canterlocie, obaleni zostali wszyscy lokalni namiestnicy. Część powieszono, część puszczono wolno.

– Wtedy właśnie za namową niejakiego Long Taila postanowiłam przyłączyć się do Rantera. Swoją drogą typ był do ciebie podobny... Jeszcze wtedy myśleliśmy, że będzie to pokojowe rozwiązanie. Nie zauważyliśmy, że już wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli. Co ja mówię, nikt nigdy tego nie kontrolował.

– Powstały tak zwane komitety, których zadaniem był wybór dziesięciu kucyków rządzących każdą z czternastu prowincji. Zaraz też pojawił się komitet centralny, kontrolujący sytuację w całym kraju. Była nas piątka, ja, Eldest Ranter, jednorożec zwany Dreary, Starlight Glimmer, koszmarna postać, i taki jeden szlachciur.

– Szlachta tam była? – Equinox wytrzeszczył oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Oczywiście, że tak. Widać, że popełniasz ten sam błąd, co niemal wszyscy republikanie. Wierzysz, że ten kraj jest w stanie funkcjonować bez wykształconej szlachty. Elity tego przeklętego państwa. Otóż nie. Oni są niezbędni.

– Harmonio... Nie mogę uwie....

– O nie! Tylko nie wzywaj mi tu tego zabobonu! O żadnych harmoniach nie chcę słyszeć! – Goldenrod nienawidziła tej idiotycznej manii oddawania czci legendarnej mocy. Stwórcy tego świata. Niematerialnej postaci, którą słabeusze błagały o łaskę, pomyślność lub szybką śmierć sąsiada czy teściowej. Opium dla mas. Ucieczka dla tych, którzy nie są w stanie samodzielnie zmienić własnego życia i potrzebują jakiejś nadprzyrodzonej siły, odwalającej całą brudną robotę.

– Ale...

– Bez dyskusji! Uspokój się, jeśli chcesz usłyszeć całą historię.

Equinox posłusznie umilkł, patrząc spode łba na klacz.

– Pod czułym okiem księżniczek doszło do głosowań we wszystkich czternastu okręgach. I wtedy stało się coś, czego ani ja, ani Ranter, ani nikt z nas nie przewidział. Księżniczki zwyczajnie nas wydymały. Nie, nic nie sfałszowano. Całość przebiegła bez żadnych zakłóceń. Kucyki wybrały przedstawicieli z rodów szlacheckich. We wszystkich czternastu prowincjach wygrała cholerna szlachta! Luna i Celestia, zgadzając się na wybory, musiały to przewidzieć.

– Jak? Przecież to niemożliwe.

– A jednak prawdziwe. Zresztą to dość proste. Tylko oni mieli coś do zaproponowania, byli gwarantami w miarę spokojnych rządów, nie mordów na jednej z ras. Rogaty szlachciur oznaczał w praktyce jedno. Będzie po staremu, przedstawiciel plebsu był jedną wielką niewiadomą. Mógł jednocześnie dążyć do dialogu międzyrasowego albo zakrojonej na szeroką skalę eksterminacji. Społeczeństwo, a zwłaszcza bogaci kupcy, wybrali pierwszą opcję. Wieśniacy w praktyce w ogóle nie głosowali, biedne mieszczaństwo poparło republikanów, bogate – monarchistów, a średnie albo zostało przekupione, albo zwyczajnie ze strachu wołało, by zostało, jak było.

– To się kupy nie trzyma! – nie wytrzymał Equinox. – Twierdzisz, że wszystko, co do tej pory robili, było bez sensu? Wbrew ich przekonaniom?

– Naród jest głupi. Jest potwornie głupi i łatwy do zmanipulowania. Wystarczyło pokazać mu konkretnego wroga i zebrać w sporą grupę, a całą resztą zajął się sam. Ale gdy doszło już do poważnego wyboru, mało komu z tych podżegaczy i zadymiarzy zależało na zmianach. Oczywiście istniała spora opozycja, która w niedługi czas później utworzyła własne bojówki do walki z monarchistami, ale na tym etapie nie miała jeszcze wiele do gadania. Oczywiście ja znalazłam się w tych bojówkach, dowodząc oddziałem operującym w rejonie Baltimore. – Z niekrytą dumą wypięła przykrytą sfatygowanym pancerzem pierś.

– Wtedy istniała jeszcze realna szansa na utrzymanie pokoju pod berłem księżniczek. Wystarczyło tylko, by namiestnicy złożyli ich wysokościom hołd i przysięgli, co przysięść winni. Niestety nie mieli takiego zamiaru. Każdemu z naszych ukochanych szlachciców zamarzyło się własne państwo. No i właśnie wtedy doszło do wojny.

– W pole ruszyły wojska monarchistów i spotkały się z nielicznymi armijkami drogich namiestników. Naturalnie rozbijały je po kolei w pył i stłumiłyby całą rebelię, gdyby nie nasze bojówki. Wzięliśmy się ostro do roboty i opanowaliśmy częściowo sytuację w kraju. A potem doszło do słynnego Balu Canterlockiego. Tego, na którym zamordowano Rantera.

– Dlaczego to zrobiono? Nie mogę wciąż w to uwierzyć. Księżniczki oskarżyły rebeliantów, tyle wiem, ale dlaczego mielibyście to zrobić?

– Ranter był niewygodny. Po pierwsze, zbyt wiele kucyków widziało go jako przyszłego przywódcę rodzącej się republiki. Starca bez żadnego zaplecza, bez politycznego doświadczenia. Formalnie zostałby nowym panem w Equestrii, w praktyce byłby nędzną marionetką najpotężniejszych rodów. Po drugie, potrzebowaliśmy jakiegoś męczennika za republikę, jakiś symbol jednoczący plebs w walce ze szlachtą.

– W pałacu doszło do walk. Z jednej strony my próbowaliśmy zabić Rantera i część najbogatszych i wpływowych magnatów, z drugiej owi magnaci chcieli pozbyć się Rantera. Ostro się pobiliśmy i nie wyszło najlepiej. Eldest zginął, ale cała reszta przeżyła. Nie licząc jakiegoś generała, ale on był zupełnie bez znaczenia. – Klacz zamyśliła się na chwilę.

Przypomniał jej się ów bal. Uczestnictwo w nim było chyba jednym z najdziwniejszych doświadczeń, jakie przeżyła. Oto w centrum ogarniętego wojną domową kraju spotykają się przeciwne strony, razem jedzą, bawią się i śmieją, nieudolnie próbując dojść do jako takiego porozumienia. Dziesiątki sproszonego gości, najszlachetniejszych przedstawicieli rodów, a wokół płonące wioski i mordowane kucyki. W pamięć szczególnie zapadła jej szóstka przedstawicielek elementów harmonii wyglądających, jakby zupełnie nie zdawały sobie sprawy z otaczającego je świata. Nic zresztą dziwnego, w dzień wybuchu wojny Celestia zapakowała je do powozów i wysłała do Kryształowego Imperium, o czym nie omieszkała jej powiadomić sama księżniczka Twilight Sparkle, najwyraźniej wyjątkowo rozgoryczona decyzją władczyń.

– To wy go zabiliście? – Ogier przystanął i ze zgrozą wpatrzył się w klacz.

– Lepiej! Ja go zabiłam. Osobiście. Co się tak gapisz? Z doświadczenia wiedziałam, że jeśli chce się być czegoś pewnym, trzeba samemu to zrobić.

– Czy to dlatego cię...

– Co? Torturowano? Co ty! Księżniczki nawet się ucieszyły, tylko miały spory problem ze zrzuceniem z siebie podejrzeń o jego śmierć. Mniejsza. Dopiero potem rozpoczęła się prawdziwy burdel, bo widzisz, szlachta się podzieliła. Część poparła księżniczki, część nas, a raczej sprzeciwiła się władzy królewskich sióstr. No i rozpoczęła się walka na dwa fronty z oddziałami monarchistów i cierpiącymi na przerost ambicji, zbuntowanymi magnatami. Zaczęli się ostro rżnąć o wpływy w poszczególnych prowincjach, a w tym czasie ja i Dreary postanowiliśmy wykroić sobie państewko na wschodzie.

– Z jednorożcem? – upewnił się zszokowany całą historią Equinox. – Ty sprzymierzyłaś się z jednorożcem?

– Chwilowo. No wiesz, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Gorzej, że pegazy i jednorożce zaczęły wstępować w szeregi moje... RKZ-u. – Goldenrod wzdygnęła się widocznie na wspomnienie innych ras.

– W każdym razie, kiedy niewyżyci magnaci wyrzynali się między sobą, po państwie szalały pozbawione rozkazów monarchistyczne armie, a księżniczki musiały uchodzić z Canterlotu, ja budowałam prawdziwe państwo. No i wtedy właśnie okazało się, że jestem zbyt potężna. Dreary się mnie bał. Popierała mnie cała masa kucyków i to nie tylko w Fillydelphi, w której aktualnie przebywałam, ale w całym państwie. Ktoś wymyślił, żeby wysłać mnie do Canterlotu, jakoby w celu zbadania sytuacji w centrum kraju. A ja, kurwa mać, się nie domyślałam, o co im chodzi!

– Władający w tym czasie miastem Marvelous musiał dostać wskazówki, co ze mną zrobić. Widzisz, szlachcie nie podobałam się jeszcze bardziej niż Dreary'emu. Kretyni ze stolicy ubzdurali sobie, że na czele bandy wieśniaków i kilku oddziałów najemników pokonają obie księżniczki wraz z ich najlepszą armią. A to, że akurat byłam w pobliżu, postanowili wykorzystać. Swego czasu nabrałam pewnego doświadczenia w walce, kiedy to dowodziłam bandą kryjących się po lasach frustratów. Chyba byłam jedynym kucem w armii, który cokolwiek znał się na walce.

– Kiedy więc armia Marvelousa została otoczona, zostałam zostawiona na pewną śmierć. Nawet się na to zgodziłam – wyznała, widząc jeszcze bardziej zdumioną minę Equinox. – Imaginowałam sobie, że będzie to śmierć w jakimś szczytnym celu. Że... ja wiem? Zostanie to jakoś wykorzystane przez Marvelousa czy Dreary'ego. Że przysłuży się to całemu powstaniu. Nie pytaj jak, bo sama za chuj nie wiem. Jakiś idiotyczny impuls. – Zamyśliła się na moment. – Śmierć wszystkim wrogom...

– Co? – Equinox nie zrozumiał ostatniego zdania. – Czy to ma coś wspólnego z resztą historii?

– Nie, nie. Nieważne... – zmieszała się wyraźnie. *Za dużo powiedziałam, nie mogę tak się zapędzać.*

– Dopiero po złapaniu zdałam sobie sprawę, jak wygląda cała sytuacja. Że zostałam ojebana i zdradzona przez dawnych przyjaciół. Że muszę im wszystkim przypierdolić i to tak, żeby przez następne dekady opiewano to w pieśniach. Dlatego że mimo wszystko nie pozwolę, żeby Equestrią znów zawładnęły alikorny albo ta przeklęta szlachta! – Spuściła wzrok i nagle zawyła strasznym głosem: – Zdradzili mnie! Moi własni przyjaciele, ci, którym ufałam! Zdradzili!!! – Zatoczyła się z obłędem w oczach i przysiadła, nie mogąc iść dalej.

– Spokojnie... – Equinox spojrzał przeciągle na klacz. Nie tego się spodziewał, na pewno nie tego, ale i tak to było nic w porównaniu z ostatnimi słowami towarzyszki. Zdrada, to słowo głęboko utknęło w jego głowie.

– Co jest? – Goldenrod nieco się uspokoiła. – Nie tego się spodziewałeś?

– Nie – mruknął i spuścił łeb. – Chodziło tylko o władzę?

– Zawsze o to chodzi. Ewentualnie o pieniądze. Ale idee nie mają żadnego znaczenia. Przejechał się na nich Ranter, przejechałam się i ja, bo zbyt późno zrozumiałam, na czym polega ten przeklęty świat.

Wyszli z ciemnego lasu i stanęli na skraju małej, niezwykle kolorowej łąki. Przekwitające już białoróżowe koniczyzny i snujące się pośród traw przywrotniki chwiały się na wietrze. Łąka żyła, słysząc to było wyraźnie mimo wszechobecnego szumu drzew. Wysokie, proste i rozłożyste jodły chwiały się w posadach, miotając na wszystkie strony, niby wielkimi mackami, rozdygotanymi gałęziami.

– Czy w tym kraju ciągle musi tak wiać? – Goldenrod z lekkim uśmiechem wybiegła z lasu i rzuciła się na pokrytą zieloną koldrą ziemię. Zrzuciła z grzbietu juki i położyła się, z rozkoszą wdychając zapach rosnących wokół ziół i kwiatów. Z rosnącej obok koniczyzny wyleciała żółto-czarna pszczoła i usiadła na samym czubku nosa klaczy.

– Jest jesień. To normalne. – Equinox podbiegł i ułożył się obok śnieżnobiałej. Towarzyszka coraz bardziej go zadziwiała.

Jeszcze przed chwilą bez żenady opowiadała, jak to oszukiwała prosty lud Equestrii, spiskując i sprzymierzając się ze szlachtą tylko po to, żeby zdobyć władzę w kraju, a teraz najzwyczajniej w świecie leżała pośród rozdygotanych na wietrze kłosów i śmiała się radośnie, obserwując łążącego po jej nosie owada. Zimne powietrze mierzwiło jego sierść, ziębiło nieokryte ciało, rozwiewało grzywę. Po chwili spostrzegł, że położył się po złej stronie klaczy. Jej rozwiewane przez wiatr włosy co chwila wpadały mu prosto do oczu, powodując nieprzyjemne łzawienie.

Z zielonej polany las wyglądał jeszcze mroczniej niż kiedy przezeń wędrowali. Equinox z niepokojem zasłuchiwał się w wydawane przez ścianę drzew odgłosy, do złudzenia przypominające zawrodo niespokojnego ducha czy wycie rannego wilka. Bijący od lasu chłód przeszywał całe ciało ogiera.

– Nie powinniśmy zbyt długo tu leżeć – zachichotała Goldenrod, przeganiając delikatnie ciekawską pszczołę. – Trzeba dotrzeć wreszcie do tego cholernego Stalliongradu. Przed nami jeszcze kawałek drogi. – *I żadnej więcej karczmy.*

– No to w drogę – zakomenderował Equinox i wstał z trudem.

– Ja tu wydaję rozkazy – upomniała go klacz i spojrzała srogo spod na wpół przymrużonej powieki. Ogier zagapił się w błękit jej oka i uśmiechnął głupio, rozmarzony. – Nie gap się, tylko bierz juki! Idziemy.

– Tak, tak, już. – Podniósł z trudem dobytek i znów zrobił maślane oczy, patrząc tym razem na bujny, złocisty ogon klaczy.

Zanosiło się na długą i nieprzyjemną wędrówkę przez czarny, zimny, niebezpieczny las w towarzystwie chyba najpiękniejszej klaczy w Equestrii. Czy można chcieć czegoś więcej? *Nie*. Equinox pokręcił głową. *Nie można*.

– Ktoś za nami podąża. – Equinox odwrócił się czym prędzej i wlepił wzrok w ziemię porośniętą niską, zieloną i jak najbardziej świeżo wyglądającą trawą. Przedzierali się właśnie wąskim duktem przez kolejne pasmo niskich, kopiastych gór, gęsto porośniętych iglastym lasem. Przez wciąż unoszącą się nad krainą warstwę chmur przedzierały się promyki słońca, oświetlając punktowo korony drzew.

– Co? O cholera! Od dawna? – Goldenrod spojrzała za siebie. Rzeczywiście, ktoś tam był i zbliżał się do podróżującej dwójki. – Pięknie...

– Co robimy? Wiejemy?

– Absolutnie. – Tylko tego im brakowało. Zwracanie na siebie uwagi było ostatnią rzeczą, na której zależało teraz klaczy. – Idziemy dawnym tempem. Nie odwracaj się, do diabła. – Equinox ze strachem przyspieszył nieznacznie kroku, ignorując coraz większe zmęczenie i wciąż brak sprawnej nogi.

Nie zwracając uwagi na goniącą ich postać, dwójka wdrapała się po stromej i nieprzyjemnie śliskiej ścieżce na szczyt niewielkiego wzniesienia. Wierzchołek góry zajmowała kolejna całkiem spora, złocista polana. Goldenrod wzdrygnęła się mimowolnie na jej widok. Nie zatrzymując się, podróżni weszli na powrót w las i zaczęli mozolną wędrówkę w dół, ku wąskiej, gęsto zalesionej dolinie i dalej w stronę rozciągających się aż po sam horyzont kolorowych pól uprawnych, zwiastujących bliskość Stalliongradu.

– Hej! Wy dwaj! – donośny, ochrypły głos klaczy rozbrzmiał w ciemnym, poskrzypującym lesie.

– O kurwa... Equinox, ona może być niebezpieczna. – Goldenrod wciąż patrzyła pod nogi, na płynący samym środkiem wąskiej ścieżki lodowaty strumyk.

– Czy naprawdę nie możemy mieć dnia bez żadnych przygód? – Ogier zajęczał, przeczuwając czekającą ich za moment walkę.

– Przecież chyba tego właśnie chciałeś.

– Co za dużo, to niezdrowo. – Pokiwał swą zieloną głową, robiąc przy tym mądrą minę.

– Hej! Głusi jesteście?! – Zbliżający się tętent kopyt i dość głośny oddech.

– Czego chcesz? – Goldenrod odwróciła się w miejscu i obdarzyła goniącą ich postać złowrogim spojrzeniem. Nie było sensu dalej ją ignorować. Equinox zatrzymał się i też przyjrzał nieznajomej.

Klacz jednorożca głośno sapła niedawną przebieżką. Była nieduża, koloru brudnobrązowego, z dość długą, krwistoczerwoną, zawiniętą w górę na końcach grzywą i ogonem. Nosila coś na kształt opadającego do ziemi płaszcza wykonanego z jakiegoś dziwnego, zielonego, sztywnego materiału. Odzienie pasowało idealnie do jej niedużego ciała. Ze specjalnym dodatkowym utwardzeniem na karku i wyraźnym zgrubieniem na piersi i grzbiecie robiło za całkiem niezłą zbroję. No i jeszcze ten kaptur. Goldenrod pokiwała z uznaniem głową na widok stylizowanego na smoczą paszczę nakrycia głowy.

– Czego chcę? A tak... pogadać! – Jednooka wytrzeszczyła oczy. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała, a już na pewno nie wypowiedzianej w ten sposób. Klacz pierwsze słowa powiedziała wolno, jakby głęboko się namysławiając, ostatnie zaś wykrzyczała, jakby niespełna rozumu. *Nacpana czy co?*

– Yyy... Co? – Equinox, także porażony dziwną odpowiedzią, nie był w stanie wymówić nic mądrzejszego.

– No bo tak. Idziecie, widzi mi się, w stronę Stalliongradu. Ja wiedzieć także. A więc!
– Uśmiechnęła się. – Pomyślałam, że w grupie będzie różnie. Nie?

– Nie. – Goldenrod nie wahała się ani chwili przed odpowiedzią. Nie potrzebowała więcej towarzyszy niż wciąż jęczący Equinox, a już na pewno nie chciała mieć przy sobie żadnego jednorożca.

– Oj przecież wiem, że tak. Zresztą, moja droga i tak wiecie tędy, więc chcąc nie chcąc, chwilę wam potowarzyszę. Jak się nazywacie?

Equinox mimo sporego zdziwienia niecodziennym zachowaniem klaczy już szykował się do odpowiedzi, ale ubiegła go Goldenrod.

– A co cię to obchodzi? I czego w ogóle od nas chcesz?

– No wiesz... Znudziło mi się już samotne podróżowanie. Z jakiegoś powodu wszyscy ode mnie uciekają! – zarechotała głośno i dość ochryple. – Ale może nie stójmy tak, co? – Ruszyła przed siebie, pogwizdując wesoło.

No pięknie. Jednooka wymieniła z Equinoxem cierpiętnicze wyrazy pyska i podążyli niechętnie za klaczą.

– No to jak? Macie jakieś miana? – podjęła rozmowę nieznajoma, gdy tylko pozostała dwójka do niej dołączyła.

– Mamy – odparła Goldenrod, ale nie miała zamiaru nic dodać.

– A można wiedzieć jakie? Ja na ten przykład jestem Bloody Light. – *Cudownie, jakieś niekochane przez rodziców dziecko...*

– Dziwacznie – stwierdził przytomnie Equinox. – Ja jestem Equinox, a ta tu to Goldenrod.

– Po prawdzie to i twoje do najnormalniejszych nie należy. – Bloody zarechotała po raz kolejny. – A ty, panienko, co taka skwaszona?

– Tylko nie panienko – warknęła śnieżnobiała. – Już gdzieś cię widziałam i wcale mi się to nie podoba.

– Ha! Pewnie, że widziałaś. Nawet wieczerzę obok spożywałaś! W tej zasmrodzonej, niegodnej nawet splunięcia mordowni. Pamiętasz? – Goldenrod przystanęła i wytrzeszczyła oczy na brązową klacz.

– Byłaś w tej oberży? Tej, która spłonęła?

– Byłam, w istocie. Co więcej, sama ją spaliłam, do fundamentu.

– Co? Ty cholerna wariatko! Po kiego czorta żeś to zrobiła? Wiesz, ile porządnych kuców ziemnych ubiłaś? Wiesz, że ja i mój towarzysz omal nie spłonęliśmy w środku? – Jednooka wyglądała, jakby zaraz miała się rzucić z kopytami na jednorożca. Jej oko słało na wszystkie strony dziesiątki błękitnych błyskawic.

– Taki w rzeczy samej był mój zamiysł. – Bloody pokiwała w zamyśle głową. – Ale miałam dobry motyw. – Wyszczерzyła się i wydłubała coś z przytroczonych juków. – Masz.

– A to co? – Goldenrod przyjrzała się podanej jej kartce pożółkłego papieru. Pod kilkoma linijkami koślawego tekstu znajdowały się dwa rysunki. Jeden przedstawiał wyjątkowo krzywą klacz jednorożca, drugi natomiast jej znaczek, nabijaną gwoździami pałkę. Jednooka od razu przypomniała sobie ogłoszenie z tablicy przed wejściem do zajazdu. Powoli podniosła wzrok na Bloody i zmrużyła oko. – Jesteś ścigana...

– I to jak długo!

– Ale co to ma do palenia tych wszystkich kucyków! – nie wytrzymał Equinox.

– Wystaw sobie, że byłam ścigana przez kilku, że tak powiem, łowców. Głupcy myśleli, że samoszóst mi podołają. – Koszmarny, złośliwy i nad wyraz nieprzyjemny uśmiech wykwitł na pysku klaczy. – No cóż, jak widać mylili się i to srogo. Oj tak, bardzo srogo.

– Yyy... ten... My cię wcale nie ścigamy. – Harda do tej pory mina Equinosa zrzędała zaskakująco szybko.

– Toteż jeszcze żyjecie, mój drogi. Nie jest tedy moim zamiarem ubicie was w tym paskudnym lesie, a przyłączenie się do waszej kompanii. To jak? – Popatrzyła Goldenrod prosto w oko. Jej głęboko zielony wzrok, z pozoru spokojny, po dłuższym poznaniu przeszywał do szpiku kości swą zimną obojętnością, tak niepodobną do wciąż wyszczerzonych w uśmiechu zębów.

– Czy na tym świecie nie ma innych miast, do których mogłabyś podążać? Ani żadnej innej... kompanii? Czemu akurat my? – Jednooka nie mogła zrozumieć dziwnego kaprysu Bloody. Może gdyby jeszcze była kucem ziemnym, zaakceptowałaby jej towarzystwo. Walić to, że była poszukiwana pewnie w całym kraju, Goldenrod przecież także wyjęta była spod prawa, ale to wystające z czoła świństwo... Śnieżnobiała zwyczajnie nie mogłaby podróżować bok w bok z tym czymś. Z jednorożcem. Z drugiej strony co jeśli wariatka poczuje się urażona odmową i postanowi, dajmy na to, podpalić las i zwęglić ich w środku gęstwiny? Z dwojga złego wołała jednak przeżyć.

– Powiedzmy, że zaimponowałaś mi. W ograniczonym stopniu, ale jednak. No i obraliście ten sam szlak co ja.

– A jak cię nie zabierzemy, to nas spalisz? – Equinox wołał się upewnić przed podjęciem decyzji.

– Pff... I tak za wami pójdę. – Jej głos do złudzenia przypomniawszy Goldenrod swoją młodszą siostrę, która ciągle włóczyła się za śnieżnobiałą mimo nieustannych gróźb i klątw. – Ale potrafię być mściwa.

– Czyli ta rozmowa nie ma sensu – skwitowała jednooka, coraz bardziej naburmuszona. – Ale wiedz, że nie jesteś mile widziana.

– Przywykłam. – Uśmiech momentalnie przerodził się w najszczerzy smutek. Goldenrod tego nie zauważyła, w ogóle starała się z całych sił uniknąć widoku jednorożca. Equinox wręcz przeciwnie, zaraz też zrobiło mu się żal niedużej klaczy.

– Ładnie... Efektownie spaliłaś tę oberżę. – Nie miał pojęcia, o czym rozmawiać, więc powiedział to, co pierwsze przyszło mu do głowy. – Nie wiedziałem, że wszystkie jednorożce potrafią tak czarować.

– Ha! Bo w istocie, nie potrafią. Jestem, widzisz, nieco bardziej zaawansowana. Kiedyś – podeszła bliżej ogiera i demonstracyjnie zniżyła głos – miałam być magiem. – Odskokczyła, z głośnym śmiechem i radością obserwując zdziwienie ogiera i idącej obok jednookiej klaczy.

– Naprawdę? Jak to?

– Zwyczajnie. Rozumiesz, moja kochana, tfu, tfu – splunęła pod nogi – rodzinka postanowiła, że muszę dobrze znać się na czarach. To wystali mnie do jakiejś szkoły.

– Zaraz, zaraz. Cóż to za bzdury nam opowiadasz? Taka szkoła to wydatek jak cholera. W praktyce osiągalny jedynie dla szlachty, ewentualnie naprawdę bogatych kupców. Chcesz powiedzieć, że zaliczałaś się do jednej z tych grup? – Jednooka po raz kolejny tego dnia wytrzeszczyła oko.

– Dokładnie. Ze szlachty konkretnie, i to nie byle jakiej. Z rodu Sanguinary! – *Jaka klacz, taki ród*. Więc nie dość że była jednorożcem, to jeszcze zaliczała się do potwornej kasty szlacheckiej. – Niestety, nie kochali mnie. – Nie wyglądała, jakby specjalnie się tym przejmowała. – Ja ich z resztą też nie. Związałam i już nigdy nie wróciłam.

– Naprawdę pochodzisz ze szlachty? Pierwszy raz widzę jednego z was!

– Jedną – poprawiła go jednorożec.

– Ale czemu uciekałaś? Słyszałem, że wiele z was ucieka przed ślubem. To prawda? – Equinox bardzo był ciekaw nieznanego mu świata i chciał dowiedzieć się o nim jak najwięcej z ust jednej z jego przedstawicielek.

– Prawie! – ucieszyła się domyślnością ogiera. – Widzisz, najpierw uchodzić musiałam ze szkoły. – Bloody nie zwróciła uwagi na nieprzyjemne prychnięcie Goldenrod. – Nauczyciele to koszmar, zapamiętaj to sobie. No a potem rzeczywiście był ślub, było i wesele.

– Uciekałaś z wesela? – Goldenrod po raz pierwszy zabrała głos w toczącej się obok niej dyskusji. – Mało oryginalne...

– Możliwe. Ale to nie ma znaczenia.

– A co ci się w weselu nie spodobało? Co w nim złego?

– Pokładziny... – Klacz jakby nieco się zmieszała i wbiła wzrok w ziemię.

– Co takiego? – Equinox pierwszy raz usłyszał tę nazwę. – Cóż to znowu?

– Upokorzenie... – nieoczekiwania odezwała się jednooka. – Choć z niewiadomych mi przyczyn przeszło do tradycji.

– Ale co to jest?!

– Oj, no nic takiego. Po weselu idziesz się rznąć z mężem na oczach gości. – Bloody zaczerwieniła się. *Zaraz, niemożliwe. Tak obcesowa klacz wstydyła się pokładzin?* Goldenrod pokręciła ze zdumieniem głową.

– Naprawdę? Co za kretynizm! Po co to komu? Jakichś chyba niezaspokojonych gości się sprasza na takie wesela. – Trzeba było przyznać, że czegoś takiego ogier się nie spodziewał.

– Nie mów, że tobie to przeszkadzało – zadrwiła Goldenrod. – Wyglądasz na dość obcesową postać.

– Ale to jest chore! Tylko brakuje, żeby moja niewyżyta rodzinka gapiała się, jak gwałci mnie jakiś stary dziadyga!

– Tak, tak. I zwałaś w samym środku wesela? – Jednookiej już chyba nic nie mogło zadziwić w szalonej jednorożec. Była bodaj najdziwniejszym kucykiem, jakiego dane jej było poznać. I wcale nie cieszyła się z tego powodu.

– Gwoli ścisłości to pod sam koniec. – Bloody pokiwała głową. – Jak już goście się spili i nie bardzo wiedzieli, kto jest panną młodą. No i całe szczęście nie było ich za wielu, więc i o pościgu nie mogło być mowy.

Śnieżnobiąta pokiwała ze zrozumieniem głową. Wyobrażała sobie odzianą w białą suknię wariatkę i goniące ją “niewyżyte” stado biesiadników. W Equestrii od dobrych kilkuset lat obowiązywało prawo dokładnie regulujące maksymalną liczbę zapraszanych na ślub gości. Goldenrod nie była pewna, ale limit wynosił zdaje się trzydzieści... może czterdzieści kucyków. Nigdy jej to zbytnio nie interesowało. Regulacje te miały zapobiec ewentualnym bankructwom czy to mieszczaństwa, czy szlachty, wydającym niewyobrażalne dla niektórych sumy na imprezy. Według woli księżniczki Celestii kucyki miały rozwijać handel i się bogacić, a nie pozbawiać wszystkich oszczędności na weselu. Jednooka musiała przyznać, że było to wcale słuszne prawo, bo znając mentalność części magnaterii, była wręcz pewna, że część z nich skończyłaby pod mostem albo w więzieniu za niespłacone długi.

– Zresztą ty chyba powinnaś mnie zrozumieć. Czyż nie? – *To było do mnie?*

– Mnie się pytasz? – Śnieżnobiąta nieprzytomnie popatrzyła się na Bloody Light.

– A kogóż innego? Przecież nie wieśniaka – zaśmiała się ochryple. *Czy ona zawsze jest taka radosna? I o co jej do cholery chodzi z tym zrozumieniem?*

– Ej!

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – warknęła niemiło Goldenrod. – Czy ty zawsze jesteś taka głośna? Cały las dowie się, że właśnie tędy idziemy.

– Jak to o co? – Jednorożec zignorowała pytanie i przekrzywiwszy łeb, spojrzała swymi zimnymi oczami na maszerującą obok klacz. – Przecież niechybnie też wywodziś się z jakiegoś szlacheckiego rodu. Ha! I nawet wiem jakiego!

Goldenrod stanęła jak wryta i dzikim wzrokiem wpatrzyła się w Bloody. Equinox też przystanął, niemniej zdziwiony słowami jednorożec.

– Coś ty powiedziała? – Jej głos był zimny i twardy niczym metal. Ociekał ledwo tłumionym gniewem.

– Pochodzisz ze szlachty. Poznaję znaczek. Ten chwast, nie pamiętam, jak się nazywa, to przecie herb rodu Phosphor. – Podeszła bliżej wstrząśniętej Goldenrod i przyjrzała się z blizsza. – Pocięłaś go sobie? Słyszałam, że to bolesne.

– Nie! Ty pierdolona wariatko! Wiesz ty w ogóle, kim jestem?! Wiesz, co robiłam przez ostatnie lata?! Gdybyś była tego świadoma, nie opowiadałabyś teraz takich bzdur! Ja tępię szlachtę! Całą!

– I jednocześnie się z nią sprzymierzasz – mruknął Equinox i chciał jeszcze coś dodać, ale powstrzymał się, widząc złowróżbne drganie powieki jednookiej.

– Ostatnie kilka lat włóczyłam się po świecie i mało co mnie obchodziła sytuacja w kraju. A twoje słowa nie zmieniają faktu, że pochodzisz z rodu Phosphor. Widzę, kwiat jest samotny. – Zrobiła mądrą minę. – Znaczy megalians albo kazirodztwo...

Tego dla Goldenrod było już za wiele. Nie miała zamiaru dłużej znosić bezczelnego zachowania Bloody. Błyskawicznie wyrwała zza pasa długi miecz, doskoczyła do szczerze zdziwionej jednorożec i zdzieliła ją na odlew toporną głowicą w skroń. Klacz padła na ziemię niczym rażona gromem. Krew z rozciętej głowy cienką strużką spłynęła na szyję i zielonkawy płaszcz. Jej róg momentalnie rozjarzył się seledynową barwą i zalśnił dziesiątkami migających iskier. Huknęło zdrowo, a wąski promień trafił jednoką w środek piersi. Siła uderzenia cisnęła ziemną na rosnące obok drzewo. Zbroja zatrzęszczała głośnie, zderzając się z twardym drewnem, podobnie jak głowa, pechowo trafiająca w pień. Klacz zajęczała i zwała się u jego podstaw, nie mogąc złapać tchu. Uszkodzone żebra znów dały znać o swojej obecności, kłując nieznośnie w piersi, a łeb przeszył paskudny, mdlący ból.

– Nie podchodź... bo cię ubiję! – wybełkotała, nieprzytomnie rozglądając po okolicy. Bloody jednak wcale nie miała zamiaru nigdzie się ruszać. Sama miała problem z rozróżnieniem otaczających ją kolorowych plam, a spływająca teraz do oka krew nie poprawiała jej sytuacji.

Equinox, przerażony krótką, acz wyjątkowo nieprzyjemną walką, podbiegł do leżącej pod drzewem Goldenrod.

– Wszystko w porządku? – Głos wyraźnie mu się trząsł, stan śnieżnobiałej nie był zdaje się najlepszy. Wodziła wzrokiem po okolicy bez ładu i składu, jakby nieświadoma w ogóle swojego położenia. – Hej! Słyszysz mnie?

– Zgadnij... – Equinox nie był pewien, na które pytanie dostał odpowiedź, ale ważne było, że klacz coś jednak słyszy. – Zbie... zbierajmy... się. Jeszcze mamy kawał drogi. Ten Stalliongrad to jednak daleko... – Spróbowała wstać, ale zatoczyła się tylko i wylądowała na mchu. – Szybciej bo... nas dogoni.

– Kto? – Equinox bał się coraz bardziej. Towarzyszka nie dość że wyglądała mizernie, to jeszcze zaczęła bełkotać od rzeczy. – Ty, cholera, coś jej zrobiła?! – Dосkoczył do leżącej po przeciwległej stronie duktu jednorożec i złapał ją za głowę. – Co jej jest?! – Potrząsnął kilka razy.

– Zostaw... Aach, to było w obronie własnej – zaczęła się tłumaczyć, najwyraźniej rozumiejąc, że nieco przesadziła. *Przynajmniej jest w lepszej formie niż Gold...* – Co z nią?

– Zwariowała! Wstawaj i napraw, co zepsułaś! – Ogier złapał klacz zębami za grzywę i pociągnął, karząc wstać. Bloody chwiejnym krokiem podeszła do leżącej i nie zważając na kapiącą z czoła krew, pochyliła się nad półprzytomną.

– No pięknie... Trochę nią wstrząsnęło. Pomógłbyś, zamiast patrzeć.

– Co mam robić? – Equinox podszedł bliżej.

– Aaa! Equinox, zabierz ją ode mnie! Zabierz tę wariatkę! – zawyla Goldenrod niezwykle trzeźwo jak na swój stan. Zatargała kopytami, próbując odsunąć się od Bloody, zatrzymała się na rosnącym tuż za plecami drzewie.

– Cicho! Bacz na swój stan, bo tylko pogorszysz sprawę. – Jednorożec odsunęła się od rannej na bezpieczną odległość. – Dojdzie do siebie. Ale trzeba jej czasu.

Usiadła na środku ścieżki i zaczęła grzebać przy obficie krwawiącym rozcięciu na skroni. Nie była to rana specjalnie głęboka, nie z takimi miała już do czynienia, ale z pewnością przeszkadzała. *Może trochę przesadziłam? Ale przecież mówiłam prawdę. Ona jest z domu Phosphor!* Prowizoryczny opatrunek owinał się wokół jej głowy, tamując niekontrolowany napływ ciepłej cieczy do oczu. Goldenrod zdaje się wciąż jeszcze nie doszła do siebie, co nieco martwiło jednorożec, więc nie czekając dłużej, wstała i na powrót do niej podeszła.

– No i co? Lepiej?

– Spieprzaj! – Jednooka chciała coś jeszcze dodać, ale nagłe pieczenie oczodołu i mdlące łupanie w czaszce nie pozwoliło jej. Zatrzymała nieprzytomnie głowę i oparła o pień drzewa.

– Nie ma co! Trzeba ci jakiego leku. – Klacz wylewitowała z przytroczonych juków długą i wyjątkowo niekształtną fajkę. Wyglądało na to, że sama musiała ją wystrugać. Głębokie zadry i topornie ociosane krawędzie dobitnie wskazywały na niski potencjał rzeźbiarski. – Masz. – Podała ją śnieżnobiałej, uprzednio zapalając wyczarowanym naprędce płomykiem. – Zaciągnij się. Tylko mocno!

– Zabieraj to gówno! – Goldenrod nie była w stanie nic innego wymyśleć. Wciąż miała problem z rozpoznaniem otaczającego ją świata, ale ten głos, mimo krótkiej znajomości z właścicielem, poznała od razu. – Nic od ciebie nie chcę...

Bloody zupełnie się tym nie przejęła. Sama wsadziła sobie do pyska ustnik i zaciągnęła się potężnie. Następnie wypuściła w powietrze gęsty kłąb dymu i za pomocą magii uformowała w sporą, acz zgrabną mlecznobiałą kulę. Podeszła do niemogącej się podnieść Goldenrod i rozszerzwszy magicznie szczęki, wepchnęła do środka chmurzastą bańkę, po czym, nie zważając na gniewne warknięcia otumanionej klaczy, zacisnęła jej zęby i zatkała nos. Po kilku głośniejszych kasznięciach i kopnięciach jednookiej, jednorożec postanowiła uwolnić jej biedne chrapy i profilaktycznie oddaliła się na bezpieczną odległość.

– Ty... kurwa! – Zakaszłała głośno i zamrugła kilkakrotnie, zdziwiona. Świat wyostrzył się, osiągając poziom niemal całkowitej przejrzystości. Ból wprawdzie nie zniknął, ale został skutecznie przytłumiony, klacz w ogóle czuła się lekko nieobecna niemal jak po ostrej popijawie, ale przynajmniej mogła już samodzielnie wstać, co też niezwłocznie uczyniła. – Coś ty mi dała? – Zatoczyła się lekko i zapatrzyła przed siebie. – Uuu... Ależ ten las kolorowy. Equinox, widziałeś! – Ze zdumieniem zagapiła się na rosnący obok pomarańczowo-fioletowy mech. Dobór kolorów był, owszem, iście zabójczy, ale coś w nim pociągało. Jakaś nieodgadniona tajemniczość, egzotyka. – Jakim cudem wcześniej tego nie zauważyłam...

– Blood! Coś ty jej dała? – Equinox chyba wołał tamtą niekontaktującą Goldenrod niż tą głupawo uśmiechniętą, wpatrującą się w najzwyczajniejszy na świecie mech.

– Manehattańskiego Smoka! Skusisz się? – Jednorożec zaciągnęła się i wypuściwszy ze świstem dym, podsunęła ogierowi fajkę pod sam nos.

– Mowy nie ma! Nie wezmę za nic tego świństwa! Jakaś trucizna czy co...

– Nie bądź głupi – zaśmiała się klacz. – Palę to codziennie. – *Widać*, pomyślał Equinox, ale nic nie powiedział. – Hej, królewno, lepiej ci?

– Tak... Powinnam cię utłuc na miejscu... – Głos śnieżnobiałej był nienaturalnie rozmarzony i... rozczulony? – Ale nie ma na to czasu. – Ku uldze ogiera zmieniła ton na bardziej rzeczowy, dużo bardziej do niej przystający.

– To co, mogę iść z wami?

– Nie! – O, i to była Goldenrod, jaką Equinox zdążył poznać. I bardzo mu taka wersja odpowiadała. – Mało przed chwilą mnie nie zabiłaś, nie mówiąc o bzdurach, jakie wygadywałaś. Do tego palisz jakieś gówno, jesteś nieprzewidywalna, niebezpieczna i poszukiwana w całym kraju. Nic nam z twojego towarzystwa.

Bloody pokiwała ze zrozumieniem głową. Musiała przyznać, że było w tym trochę racji, musiała też przyznać, że czas, w jakim jednooka doszła do siebie po "zażyciu" Smoka był wcale imponujący.

– Mogę się przydać. Widzisz, posiadam rozległą wiedzę na temat magii. No i droga wypada mi tędy, więc chcąc nie chcąc...

– Dość! Nie możesz zwyczajnie nas wyprzedzić? Idź sobie do Stalliongradu, droga wolna, ale nie z nami!

– No zaraz. Było nie było, uratowałam ci plot. No, może nie do końca, ale to moja zasługa, że teraz stoisz o własnych siłach, a nie podpierasz sosny!

– Jodły...

– Wszystko jedno.

– A wcześniej omal nas nie spaliłaś. – Zaczęła się rodzić nowa kłótnia.

Equinox nie miał zamiaru dłużej stracić w miejscu i zaczął wolno iść w dół zbocza. Pokrzykujące klacze nieświadomie zaczęły podążać jego śladem, wciąż przyspieszając tempa tak, że po chwili szli już dawnym krokiem.

– Nie ma co się dłużej kłócić – podjął ogier po prawie półgodzinie. – Po mojemu to nie ma wielkiego problemu, żeby Blood do nas dołączyła. W końcu chyba nie chciała tego...

– Prawda to! Nie jesteście moimi wrogami, a za tamto w obojętność przepraszam. – Ku zdumieniu jednookiej jednorożec zwyczajnie schyliła przed nią czoło, przyznając się do błędu. – Za to, co powiedziała dziś, też. Rozumiem, że to miało pozostać tajemnicą...

– To nie jest żadna tajemnica, a zwykła głupota. Najwyraźniej coś pomyliłaś w swoim herbarzu. A to, co ja mam, to nie żaden chwast, tylko nawłóć.

– To co? Pokój? – Bloody przystanęła i wyciągnęła przed siebie kopyto. Goldenrod przyjrzała mu się z niechęcią. Gdyby nie to coś na czole, nie wahałaby się dłużej, ale tak... Przecież była jednorożcem, do tego szlachcianką, czyli kwintesencją najgorszego sortu Equestriańczyków! Ale z kim to ona się już nie sprzymierzała? Lepiej mieć taką wariatkę za sojusznika niż przeciwnika. Zresztą, byle do Stalliongradu, potem się rozstaną.

– Niech stracę. – Przybiła kopyto i zaraz została złapana przez Bloody Light w silnym uścisku. *No nie, przytulam jednorożca...*

– No świetnie! To co, idziemy? – Drobną klacz, zupełnie nie przejmując się zakłopotaną miną śnieżnobiałej, ruszyła rażnym krokiem, pogwizdując wesoło i ćmiąc toporną fajkę. *Ależ dziwaków spotyka się na szlaku.* Ale któż o zdrowych zmysłach zrezygnowałby w takich czasach z pomocy może i szalonej, ale oddanej klaczy?

Białe mury Canterlotu od dawna majaczyły przed oczyma strudzonej długim i wyczerpującym marszem 2 Armii. Wysokie na kilkadziesiąt metrów wieże stolicy odbijały słabe promienie jesiennego słońca, błyszcząc niczym widziana na północy kraju zorza. Wspaniałe, wielobarwne, złote i srebrne, karmazynowe i lazururowe dachy pokrywały pałace najmożniejszych mieszkańców. Centrum miasta skrywał rzucany przez górujący nad miastem ostry i niedostępny szczyt cień, przesłaniając największe i najgłośniejsze arterie niby czarnym płaszczem, mrokiem.

Blżej szeroko rozciągały się dziesiątki mniejszych i większych pól, układających się w abstrakcyjną mozaikę, pośród których wiała się szeroka, jasnoniebieska rzeka. Kilka drewnianych chałup otoczonych niskimi płotkami flankowało stary, wysoki i potężny kamienny most. Podobnie jak sama stolica, zbudowany został z dużych, białych bloków skalnych, przywiezionych ponoć przed kilkuset laty z odległej północy. Z dwóch stron budowli strzegły podwójne bramy wjazdowe, każda wyposażona w parę półokrągłych wież i łączącego je wysokiego niemal do trzeciej kondygnacji muru z wybitym węń przejazdem. W wysokiej zewnętrznej wnęce widać było podniesioną bronę, mającą w razie zagrożenia być dodatkową ochroną dla potężnych, okutych żelazem, dwuskrzydłowych drzwi. Całość konstrukcji wieńczyły szerokie blanki.

Idący na przedzie swojego legionu Typhoon uśmiechnął się szeroko na ten widok. Wreszcie zbliżyli się wyraźnie do wyglądającego od dawna Canterlotu, najważniejszego miasta w państwie, siedziby władców całej Equestrii. Generał mimo wyczerpującej podróży czuł się wyśmienicie, zwłaszcza po swoim dzisiejszym popisie. Osiągnął swój cel. Zaraz po wykonaniu wyroku został wezwany do namiotu księżniczek, które wyraziły swoje niezadowolenie z, jak to określiły, samosądu. Wydawały się przy tym co najmniej zaniepokojone, jakby niepewne, czego jeszcze można od dowódcy pegazów oczekiwać. I bardzo dobrze, niech chwilowo tym się zajmują, a domysły nad jego powiązaniem z rebeliantami odstawiają na bok.

To jednak było nic w porównaniu z miną Lighting Contrail. Zachowywała się, jakby powiesił co najmniej jej własną córkę, a nie jednego z tysięcy podobnych żołdaków. Po prawdzie to Typhoon cudem powstrzymał się od obraźliwej uwagi, że pani generał widocznie brakuje ogiera i porządnego rżnięcia. W ostatniej chwili ugryzł się w język.

He. Wydarła się na niego jakaś nędzna córka kramarza czy innego dziada, na niego, szlachetnie urodzonego generała Typhoona rodu Daybreak, zawsze wolnego. Śmiać mu się chciało. Lighting najwyraźniej uważa, że jej słowo coś tu znaczy, że jej wola będzie w jakimkolwiek sposób respektowana. No niestety, wybrała nie tę armię, co trzeba.

Prowadzące cały pochód kohorty Sandstorma weszły na starodawny most, stukając setkami kopyt o kamienną drogę. Płynąca pod dziesięcioma gigantycznymi, półokrągłymi przęsłami rzeka odbijała promienie słońca, rażąc spoglądających z podziwem w dół legionistów. Typhoon przysięgłby, że pod każdym z łuków zmieściłby się mały zamek jednego z mniej znaczących szlachciców.

Był to isticie cud inżynierii. Elegancki, z bogato rzeźbionymi balustradami spoczywającymi na delikatnych, marmurowych balaskach, wysokimi na przeszło dwadzieścia pięć metrów, o lśniącej, gładkiej powierzchni, zwieńczony groźnymi bramami i ozdobiony dziesiątkami powiewających na wietrze, czerwonopurpurowych flag. Flag Marvelousa, do niedawna pana na Canterlocie. Zbudowany przed laty, miał służyć jako pierwsza linia obrony stolicy, twierdza na środku rzeki, blokująca przeprawę każdemu wrogowi państwa.

Typhoon, stojąc w zimnym cieniu rzucanym przez bramę, spojrzał w górę, kiwając z uznaniem głową. Nie było ani jednego obrońcy, wszyscy musieli zaszyć się w mieście. *Jak szczury, podłe tchórze!*

Flankujące wjazd pięciokondygnacyjne wieże, u dołu sześciokątne, zanurzone w wodzie, omszałe i poczerniałe, w połowie wysokości przemieniające się w półokrągłe baszty, kończyły się wysokimi blankami, na których wbite w kamień łopotały chorągwie. Pomiędzy nimi rozciągał się wysoki, sięgający trzeciego piętra mur obronny. Na górze, tuż pod kamienną hurdycją, wbita była szeroka na pół długości ściany rzeźbiona po bokach tablica z wyrytym nań zdaniem: Śmierć Wszystkim Wrogom.

Typhoon skrzywił się z niezadowoleniem na widok napisu. Zamiast tego winna widnieć tam sentencja: Zawsze Wolni.

Przekroczył próg bramy dumnie niczym sam pan i władca Canterlotu, wyzywająco patrząc na podniesioną bronę i rozwarte szeroko wrota. *Oto przekraczamy pierwszą bramę Canterlotu. Bramę Rzeczną!*

Za młodu, kiedy ojciec wysłał go na dwór książęcy, generał uwielbiał przylatywać w to miejsce, siadać na niedalekim, trawiastym wzgórzu i przyglądać się konstrukcji w całej okazałości.

Pociągnął głośno nosem, czując znajome zapachy okolicy, w której się wychował. Choć pochodził z Los Pegasus, to właśnie stolicę uważał za swój dom, miejsce, w którym dorastał, gdzie spędził najszcześniejsze chwile swojego życia, skąd przed niespełna rokiem musiał uchodzić jako jeden z dowódców wojsk książęcych i dokąd właśnie powracał.

Niedługo miasto otworzy swe bramy, armia wjedzie w zwycięskim pochodzie, książniczki na powrót obejmą tę część kraju w opiekę, a wojsko wyślą przeciwko zbuntowanym magnatom i rebeliantom. To będzie dla niego idealny moment, kiedy znajdą się daleko od Celestii i Luny, a jego jedynym przeciwnikiem będzie nędzna Lighting Contrail.

– No, ruszaj się! Nie chcesz chyba zostać na tym przeklętym moście! – Jet Set pochyliła się nad opartym o balustradę Redem. W oczach towarzysza widziała rezygnację, strach i... powoli ogarniającą je pustkę. On stracił już nadzieję na dotrwanie do końca podróży, poddał się. – Wstawaj, do diabła!

– Zostaw mnie! Jeszcze oskarżą cię o pomoc niedołędze i powieszą. – Wykrzywił się w nieszczerym uśmiechu i zakaszał głośno. Nie widział już dobrze pyska Jet Set, a tylko kolorową, niebiesko-kremową plamę, przesuwającą się przed zaropiałymi, niezdolnie łzawiącymi i piekącymi oczyma. Mijający ich legionieści nie zatrzymywali się, nie patrzyli nawet na leżącego, półżywego ogiera.

– Nie! Pójdiesz ze mną czy tego chcesz, czy nie! – Klacz złapała rannego za przednie kopyta i pociągnęła w górę, podnosząc na tylne. Z trudem przełożyła jego ciało przez grzbiet i ruszyła w dalszą drogę, nie reagując na zdziwione i pogardliwe spojrzenia współtowarzyszy.

Leżący na jej plecach ogier ciążył niezdolnie, przygniatał do ziemi, wypychał wszystkie siły. Nie zwracała na to uwagi, szła tylko przed siebie, wpatrzona w bielejącą w oddali wieżę pałacu Canterlot.

– Jet, zostaw mnie! To nie ma już sensu...

– Milcz. Nie masz nic ciekawego do powiedzenia, to nie mów. – Na cóż jej słowa Reda? Dobrze widziała, w jakim był stanie, jakie ma szanse na przeżycie. A jednak czuła, że jest szansa, że wystarczy zaprowadzić go do uzdrowiciela, który postawi go z powrotem na nogi. Musiała tylko wytrzymać marsz i donieść go do obozu, tylko to się liczyło. Nie ciężar, nie zalewający oczy pot i pokrywająca boki piana, nie drwiące uśmieшки legionistów, musiała dać radę. Nie pozwoli zginąć kolejnemu ze swych towarzyszy.

Ze złością patrzyła na innych żołnierzy. Nikt nie chciał jej pomóc, nikt nawet nie podszedł, nie licząc jakiegoś dekuriona próbującego udowodnić, jaki to on teraz nie jest ważny. Kazał jej zostawić Reda pod groźbą chłosty i zakazu wydawania pożywienia przez następne trzy dni. Wyśmiała go i napluła prosto w oczy. Wyrzuciła z siebie całą pogardę dla niego i jemu podobnych, znęcających się nad podwładnymi mędrcami, w obozie uważających siebie za kogoś równego samej księżniczce Celestii, a na polu bitwy srających ze strachu w zbroję. Naturalnie poleciał zaraz do przełożonych, ale miała to gdzieś, ona wiedziała, jakie ma zadanie: donieść Reda. Tyle.

– Było tyle zreć – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Specjalnie to zrobiłeś, żeby mi zadanie utrudnić.

– Pewnie... Myślałem tylko o tobie. Jak to będziesz musiała mnie taszczyć do samego Canterlotu. Specjalnie dałem się pokłuć, żeby tylko cię dosiąść... – zarechotał słabo. Jego śmiech szybko przerodził się w ostry kaszel, wstrząsający całym ciałem i nie chcący odpuścić.

– Nie podskakuj tak. Nie ułatwiasz mi pracy. – Jeszcze tylko kilka godzin i rozbiją obóz, jeszcze tylko kawałek, znajdą się w cieniu murów stolicy i odpoczną przed czekającą ich bitwą. Może dostaną większy przydział cydru i jabłka? A może jakiegoś ładnego ogiera,

względnie klacz? Byle tylko dowlec go na miejsce. – Swoją drogą, nie wiesz, co stało się z Antąlek? Od rana jej nie widziałam.

– Nie wiem. Może też ją złapali. Przekonamy się na jutrzejszej odprawie. – Wisielczy humor nie opuszczał ogiera, odkąd zwinęli obóz.

– Wolalabym wiedzieć to wcześniej...

Kolumna weszła pomiędzy rozpościerające się daleko po kres horyzontu pola. Unoszący się nad traktem, wzbity tysiącami kopyt kurz osiadał na sierści czerwonego ogiera, wpadał do suchych oczu i chrap, zaklejając je, uniemożliwiając oddychanie.

– Legionisto! – Jet Set zamarła, słysząc wysoki, lekko zachrypnięty głos centuriona. Odwróciła się. Stał za nią wysoki żółtawo-zielony ogier zakuty w srebrny pancerz i takiż hełm ze sterzącym purpurowym pióropuszem. – Stać. Co tam niesiecie?

– Towarzysza. – Nie siliła się nawet na standardowe “centurionie”.

– Zostawcie go. To już trup.

– Dopiero wtedy, gdy go zostawię. – Zmarszczyła czoło i dokładniej przyjrzała się dowódcy. Jego głębokiej, przecinającej w poprzek pysk bliznie, dziesiątkom zadrapań na pancerzu. Ten przynajmniej walczył, w przeciwieństwie do tego śmiecia dekuriona...

– Nie dacie rady. Przed nami jeszcze najmniej pół dnia marszu. Spowalniać kolumnę. – Uniósł prawą brew, wyczekując odpowiedzi klaczy. Na jej natychmiastową zmianę zdania, na strach, na przepraszanie i szybkie porzucenie towarzysza w przydrożnym rowie. Nie doczekał się.

– Zabrakło dla niego miejsca na wozie, to sama muszę go nieść. I doniosę. Był pan dziś na odprawie? Widział egzekucję? Znałam tę klacz, tego tu też znam i nie pozwolę, żeby kolejna bliska mi osoba zdechła dzisiaj tylko dlatego, że jakiemuś zasranemu przewoźnikowi nie chciało się przesunąć kilku beczek i zrobić więcej miejsca. – Starła się nie podnosić głosu, ale niezbyt jej wyszło. Centurion wykrzywił się w nieodgadnionym grymasie. Długo patrzył prosto w oczy Jet, nie zważając na otaczający ich tłum gapiów ani coraz większe przerażenie malujące się na pysku klaczy.

– Niech będzie. – Odwrócił się w miejscu. – Po rozłożeniu obozu zamelduj się u mnie.

Odszedł, zostawiając zszokowaną i trzęsącą się na nogach Jet Set, rżęcego na jej grzbiecie Reda oraz legionistów gapiących się na niego z otwartymi gębami.

Zmierzchało, kiedy czwórka najwyższych generałów zebrała się w namiocie księżniczki, obradując nad atakiem. Celestia pochylała się nad mapą, ze zdenerwowaniem studiując znane jej na pamięć zaułki miasta. Luna, dużo spokojniejsza, patrzyła przed siebie wprost na widoczne przez rozchylone połę namiotu, bielejące mimo wszechogarniających ciemności mury Canterlotu. Sandstorm, w ogóle niezainteresowany szturmem, nie odrywał wzroku od stojącego obok, tajemniczo uśmiechniętego Typhoona. Yellow Spark otwarcie się nudziła, ziewając co chwila i demonstracyjnie przeciągając. Jedynie Lighting Contrail zdawała się w pełni rozumieć nadchodzące wydarzenia i naprawdę się nimi przejmowała.

Próbowała odpocząć chwilę w samotności zaraz po rozbiciu namiotu, ale nie było jej to dane. Gdy tylko zmęczona całodzienną wędrówką przysiadła na skraju łóżka, przed nią pojawiła się postać ogiera. Kazał jej zabijać wszystkich rebeliantów, spalić ich domy, mścić się za jego krzywdę. Nie mogła tego słuchać, więc czym prędzej opuściła kwaterę i udała się na niezapowiedzianą inspekcję. Miała nadzieję spotkać po drodze Typhoona i porozmawiać o jego dzisiejszych wybrykach, ale nie było jej to dane.

Teraz stała w ciemnym namiocie, wśród pewnych siebie dowódców, wsłuchując się w niekończącą się melodię dzwonów alarmowych. Canterlot szykował się do obrony. Najwyraźniej Marvelous, czy ktokolwiek inny sprawujący tam władzę, umocnił miasto na wypadek klęski pod Hydashoofem.

– Dobrze więc. – Celestia podniosła wzrok na zebranych. – Po cichu liczyłam, że obecna rada miasta, jaka by nie była, ocali mieszkańców przed rzezią i otworzy nam bramy. Jak widać, czy raczej słysząc, nie zamierzają poddać się po dobroci. Zaatakujemy jutro z samego rana. – *Atak z marszu?* Yellow Spark pokręciła z niezadowoleniem głowę. *Nie ma szans, żeby się udało...* – Główny atak poprowadzi generał Contrail, tutaj. – Wskazała na mapie jedną z bram położonych na północy stolicy. – Prosto na Bramę Czerwoną. Pójdą z panią dwa legiony ziemne generała Sandstorma i dwie turmae pegazów generała Typhoona. Drugi, prowadzony na mniejszą skalę szturm wykona generał Yellow Spark, na mury w okolicy Baszty Nocnej drugiej.

Księżniczki nie musiały długo opracowywać planu ataku, znały miasto jak własne komnaty pałacowe. Powszechnie wiadomo było, że najsłabszym punktem murów obronnych Canterlotu jest Brama Czerwona. Niska, bez przedbramia czy choćby poszerzonej fosy, zbudowana z porfiru, była przekleństwem każdego broniącego się w mieście kucyka. A przed laty, w zapomnianych już czasach, w murach Canterlotu broniono się często.

– Cały plan polega na równoczesnym zaatakowaniu z dwóch stron. – Luna wciąż patrzyła na białe miasto, zupełnie nie zwracając uwagi na wpatrzone w nią kucyki. – Generał Lighting Contrail ma za zadanie odwrócić uwagę obrońców od jednorożców generał Yellow Spark. To pani ma przedrzeć się do miasta, rozbić mury i otworzyć bramy dla reszty oddziałów generała Sandstorma. Ufam, że jest pani w stanie sobie poradzić bez machin oblężniczych. – Skłoniła lekko głowę. Nie miała innego wyjścia, armia żadnych nie posiadała, a budowa zajęłaby co najmniej kilka tygodni. Nikt nie miał zamiaru tyle czekać, zwłaszcza stojąc pod murami stolicy. – Obecnie miasto nie posiada żadnych barier magicznych.

W większości equestriańskich metropolii istniał system zabezpieczenia fortyfikacji przed atakami magicznymi. Zazwyczaj działał na zasadzie rzuconego jednorazowo zaklęcia, które podtrzymywane było przez ukryty kryształ magiczny. Canterlot był w tym wypadku wyjątkiem, jego bezpieczeństwo było zależne od obecności księżniczki, która własną mocą zasilala system zabezpieczeń. Był to przeżytek jeszcze z czasów, kiedy władcy prawie w ogóle nie ruszali się ze stolicy, bojąc się ewentualnych buntów i wiszącej w powietrzu groźby wojny domowej.

– Pokróćce wyglądać to będzie tak: Generał Lighting Contrail weźmie ziemne legiony 1 i 4 oraz 15 i 16 turmae generała Typhoona, a generał Yellow Spark zaatakuję legionami 2, 3 i swoim oddziałem jednorożców. Turmae 17 i 18 zostaną w odwodzie.

– Wasze wysokości. – Typhoon wytrzeszczył ze złości oczy. – Mam poprowadzić atak pozoracyjny? Udać, że walczę? Dać przypisać wszystkie zasługi tej... klaczy?

– Tak, generale Typhoon, właśnie tego od ciebie wymagamy. – Celestia obrzuciła pegaza nieprzyjawnym spojrzeniem. – Nie widzę sensu dłużej nad tym rozprawiać. Decyzja została już podjęta.

– To szaleństwo. Księżniczko, ten pegaz to wariat. Powiesił dziś legionistę bez sądu, bez żadnego powodu. Nie powierzę mu swoich oddziałów. – Sandstorm odważył się zajrzeć w oczy księżniczki Słońca i szybko tego pożałował. Były zimne jak stal, złe, nieznające sprzeciwu.

– Owszem, zgodzisz się – wycodziła Celestia. – O ile się nie mylę, jesteś moim poddanym, a wszystkie wojska w Equestri należą do mnie! Nie waż się więcej sprzeciwiać swoim władczyniom. Zresztą nie jemu będą podległe, a generał Contrail.

Sandstorm nawet nie wziął pod uwagę klaczy. Wiadomym było dla niego, że to Typhoon przejmie dowodzenie nad atakiem na Bramę Czerwoną, a nie ta nędzna plebejuszka. Zresztą kto o zdrowych zmysłach powierzyłby tak niedoświadczonemu kucykowi dowodzenie podczas szturm miasta? Sam Sandstorm, podobnie jak cała reszta dowództwa, nie miał zielonego pojęcia o obleganiu twierdz. Jedynymi żyjącymi w Equestrii kucykami pamiętającymi prawdziwe wojny były księżniczki, najmniej radujące się na jutrzejszy dzień osoby w namiocie.

– Generałowie. – Celestia oparła się przednimi kopytami o stół i z powagą zaczęła mówić. – Jutro nastąpi szturm. Wiadomo, kto wygra, wiadomo, czyje łby przystroją bramy miejskie i wiadomo, kto ucierpi najbardziej. Wiem, że to, co powiem, niewiele zmieni, ale postarajcie się nie dopuścić do rzezi mieszkańców. – Jej głos zadrżał, nie załamał się jednak.

Wspomnienie odległych czasów, w których kucyki musiały walczyć, zdobywać miasta i zamki, ożyły w jej głowie, jakby miały miejsce nie przed tysiącami lat, a przed kilkoma dniami. Obrazy pokonanych, wymordowanych obrońców, zgwałconych klaczy i spalonych

domów. Czasy się wprawdzie zmieniły, podobnie jak jej poddani. Lata pokoju zrobiły swoje, ale podświadomie czuła, że jej wojsko jest zdolne do takich samych okrucieństw, jak ich przodkowie. Jedynie można było mieć nadzieję, że walczące bok w bok z ogierami klacze powstrzymają ich od masowych gwałtów na mieszkańcach Canterlotu.

– Chyba nieco przesadzasz, wasza wysokość. – Sandstorm nie podzielał obaw księżniczki Słońca. Znał dobrze swych żołnierzy, wiedział do czego są zdolni i czego nie są w stanie zaakceptować. A czymś takim z pewnością była przemoc wobec cywili. – Moi legioniści nigdy nie krzywdzili niewinnej...

– Twoi legioniści jeszcze nie stoczyli żadnej prawdziwej bitwy, generale. – Oschły i nieprzyjemny głos Luny zburzył jego pewność siebie.

– Ależ wasza wysokość, a ta ostatnia?

– Banda uzbrojonych frustratów i kilka oddziałów najemników? To według pana jest prawdziwa bitwa? To była zabawa, wasz pierwszy chrzest bojowy. – Księżniczka Księżycy bardzo nie lubiła, kiedy ktoś śmiał się wymądrzać w jej towarzystwie na tematy, o których nie miał pojęcia. – To, co do tej pory przeszliśmy, jest niczym w porównaniu z piekłem, które nastąpi!

– Jesteśmy pewni, że po zdobyciu...

– Nie przerywaj swojemu władcy! Nie macie wyobraźni, albo jesteście zwyczajnie naiwni! Zdobycie Canterlotu będzie dopiero początkiem wojny, prawdziwej wojny! Nie tej przygody z bandą uzbrojonych w widły wieśniaków!

– Spokojnie, siostró. Nic nie jest jeszcze pewne. – Celestia z niepokojem przerwała tyradę Luny. Takie informacje powinny pozostać między nimi aż do czasu, gdy nadejdzie pora na ujawnienie ich. A to z pewnością nie był dobry moment na powiadamianie dowódców o beznadziejności sytuacji w kraju. – To wszystko. Na razie bądźcie gotowi, gdybyśmy jakąś kwestię chcieli dokładniej omówić, pošlemy po was.

– Tak, najjaśniejsza pani. – Głupawo uśmiechnięty Typhoon skłonił się nisko i pierwszy czmychnął z namiotu do własnej kwatery, w której, jak mniemał, czekała na niego pewna młoda klacz.

Zaraz za nim wyszła reszta generałów, zostawiając władczynię same ze swoimi obawami.

– Typhoon, draniu! Czekaj! – *Kogo tam znowu niesie?! W stronę pegaza pędziła Yellow Spark, powiewając za sobą rozpuszczoną, fioletową grzywą.* – Czekaj no!

– O co chodzi? – Ogier nie miał zamiaru rozmawiać z nikim. Chciał jak najszybciej wrócić do swojej kwatery i odprężyć się przed walką.

– Co to za cyrk urządziłeś z rana? Wieszać bez sądu?

– Co? – Typhoon ze zniecierpliwieniem zaczął przebierać kopytami. Spojrzał przenikliwie na jednorożec. – Gównu cię obchodzi, o co poszło. Mów, czego naprawdę chcesz.

– Eee... – Klacz wyraźnie się zmieszała. – Słyszałeś, że jutro mamy atakować? – Mina Typhoona wyraziła jedynie dezaprobatę dla głupiego pytania Yellow. Musiałby być głuchy, żeby stojąc obok księżniczki, nie usłyszeć jej rozkazu. – Moje wojska nie są gotowe, podobnie zresztą jak ja. Nie możemy zaatakować jutro.

– I nie zaatakujemy. – Typhoon uśmiechnął się ledwo widocznie. Miło było usłyszeć podobne do swojego zdanie. – Nie martw się, nie ma tu to szans.

– Skąd wiesz? Jak Celestia się na coś uprze, to nic nie jest w stanie jej od tego odwieść. – Yellow mimo wszystko poczuła ulgę. Wydawało się, że ogier przynajmniej częściowo podziela jej zdanie.

– Uspokój się. Oddziały nie są gotowe, jesteśmy źle ustawieni, wszyscy w jednym miejscu, nie ma szans, żebyśmy zdołali ustawić się do rana. Legioniści też nie będą pomagali, podobnie jak oficerowie. Nie mówiąc o tym, że dwie kohorty jeszcze nawet nie dotarły na miejsce.

– Które? – zaniepokoiła się klacz.

– Sandstorma, oczywiście. Ziemniaki to bodaj najgorzej zorganizowane istoty na ziemi. – Yellow skrzywiła się z niesmakiem, słysząc ostre słowa Typhoona. – Nie ruszymy jutro.

– Contrail nie będzie zadowolona...

– Przeszkadza ci to? – Pegaz wykrzywił się pogardliwie.

– Ani trochę.

Jednorożec chciała coś jeszcze dodać, ale zauważywszy zbliżający się znajomy kształt, poniechała zawczasu. Generał Lighting Contrail wolno podeszła do dwójki dowódców, strzelając na boki gromami ze złych oczu.

– O wilku mowa. – Typhoon nie krył niechęci przed nadchodzącym kucykiem.

– To ja już pójdę. Powodzenia... – Yellow Spark nauczona, że lepiej nie zadzierać z wyższymi stopniami, postanowiła prewencyjnie się wycofać i co rychlej wrócić do własnego namiotu.

– Typhoon! – *Nie... a ta czego?* Przez cały dzień ogier sukcesywnie unikał towarzystwa zapalczywej pani generał i dosłownie na samym końcu coś takiego... Menda nie da mu spokoju. Już zrobiła mu dzisiaj awanturę, gdy w świetle prawa wieszał zdrajczynię... Ale może to i lepiej? W końcu właśnie o to mu chodziło... – Musimy porozmawiać. Natychmiast!

– Doprawdy? Czyż nie lepiej w spokoju przeżyć ten dzień, a za rozmowy zabrać się jutro? – Ogier nie był pewien, czy w ogóle jest sens dyskutować, ale każda okazja była dobra, żeby zdenerwować zniechęconego dowódcę.

– Może nie zdajesz sobie sprawy, ale jutro szturmujemy Canterlot.

– Naprawdę? No to tym bardziej powinniśmy to przełożyć. Musimy przecież wypocząć przed tak ważnym dla nas wszystkim dniem...

– Nie pieprz. Mam na to uczulenie. Czekam na wyjaśnienia odnośnie twojego dzisiejszego wybryku. – Gdyby tylko mogła, zaraz na miejscu zatłukłaby Typhoona, a truchło wrzuciła do fosy.

– A co się stało? Został powieszony zdrajca, ot co.

– Ach tak, a ty, wzór cnót wszelakich, postanowiłeś osobiście go schwytać... Myślisz, że jestem głupia? Za nic masz jakichś zdrajców, bardziej obchodzi cię cydr niż dobro tej armii. Ponawiam pytanie, co to miało być?

– Próba zachowania dyscypliny – syknął pegaz. Ta rozmowa zaczęła schodzić w bardzo złą stronę. – Ale co ciebie to może obchodzić. W końcu jesteś zbyt ważna, żeby zniżać się do tak nikczemnych zadań.

– Milcz! Jestem twoim dowódcą, czy ci się to podoba, czy nie i masz się do mnie zwracać w należyty sposób!

– Prawdziwy generał nie musi o tym przypominać. – Pegaz odwrócił się i odszedł, nie zwracając uwagi na zbitą z tropu Lighting Contrail.

Tej nocy niespokojne myśli krążyły po głowie także innej alikorn. Władającej niepozornym, skrytym na dalekiej północy krajem zwanym Kryształowym Imperium, Imperatorowa Mi Amore Cadenza, szerzej znana jako Cadance.

Stała oparta o szeroki, prostokątny stół i z zaniepokojeniem wpatrywała się w rozpostartą nań mapę Equestrii. Tuż obok, na niskim, delikatnie rzeźbionym w liście akantu krześle siedział stary ogier. Crystal Stealth, tak zwał się ów starzec. Był najwyższym doradcą na dworze Imperatorowej, jej najlepszym, jak się wielokrotnie wypowiadała, poddanym.

– Czy znane jest już położenie wojsk Celestii i Luny? – W obecności swojego doradcy nigdy nie używała żadnych oficjalnych tytułów, nieważne czy chodziło o nędznego trybuna, czy o same władczynie Equestrii.

– Najprawdopodobniej docierają bądź już dotarły pod mury Canterlotu, pani.

– Miasto padnie, i to już niedługo. Jutro, pojutrze, jeśli obrońcy będą mieli więcej szczęścia. Sądysz, że coś to zmieni w obrazie wojny?

– Księżniczki sądzą, że Canterlot jest symbolem dla wszystkich mieszkańców państwa, a po jego zdobyciu zjednoczą pod swymi sztandarami wszystkich poddanych w starciu z niedobitkami rebeliantów i zbuntowanych magnatów. Ja zaś uważam, że upadek Canterlotu co najwyżej rozjuszy niechętną im społeczność i ostatecznie przekona niepewnych szlachciców do powstania przeciw nim.

– Czy to pewne domysły? Masz dobrych informatorów? – Cadance wstała znad mapy, podeszła do szerokiego, ostro zakończonego okna i wyjrzała przezeń.

– Najlepszych, wasza miłość.

– Wierzę ci. – Nic innego jej nie pozostało jak tylko zaakceptować rewelacje starca. Miasto lśniło tysiącami świateł, odbijającymi się od kryształowych murów, migających dziesiątkami barw. – Potęga Celestii i Luny runęła przed rokiem i już nie powróci, to dobry moment na stawianie warunków.

– Co rozkażesz, pani?

– Jeszcze nic. Muszę się zastanowić. – Na powrót podeszła do stołu. – Tu. – Wskazała pogranicze z Equestrią. – Tak zwana Złota Wyżyna, oto nasz cel.

– Myślałem, że zażądamy niezależności, nałożone na nas podatki co rok rujną budżet. Mamy szansę to zakończyć raz na zawsze.

– Niedługo oderwiemy się od zwierzchności księżniczek bez żadnych zbędnych targów. Jedynym, co podlegać będzie dyskusji to obszar, jaki damy radę utrzymać. Imperium jest zbyt małe, żeby samo przetrwało, a nawet osłabiona wojną domową Equestria jest w stanie nas pokonać. Zażądamy Złotej Wyżyny jako zapłaty za przyłączenie się do wojny po stronie Celestii i Luny, a potem odłączymy.

Złota Wyżyna, jedna z najbogatszych prowincji Equestrii, słynąca z niezliczonej liczby kopalni drogiego kruszcu i dziesiątek klejnotów, tak bardzo potrzebnych magom. Ich ceny osiągały nieraz zawrotną dla zwykłego mieszczanina wysokość.

– Rozumiem, pani. Sądzę, że powinniśmy wstrzymać się jednak z przedłożeniem propozycji Ich Wysokościom aż do czasu wysłania przez nie 2 Armii na południe. – Starzec uśmiechnął się pod nosem, szybko jednak mina mu zrzędła, gdy ciałem wstrząsnął niepohamowany kaszel.

– Dobrze się czujecie, kanclerzu? Nie powinnam pana fatygować w tak późnych porach. – Odwzajemniła uśmiech, zasłaniając nim strach przed postępującą chorobą Crystal Stealtha. Wiedziała, że nigdy już nie znajdzie kogoś, kto godnie zajmie jego miejsce. – Coraz bardziej podziwiam nasz wywiad, znacie nawet plany wojsk sojuszników...

– Wiemy znacznie więcej, moja pani.

– Czyżby? Zaskocz mnie.

– Wiem na przykład, ile winien jest podчасzy pana Light Stara swojemu wujowi za uprowadzenie jednej z córek. – Stealth pokiwał głową, zamyślając się przez chwilę. – A nie, już nic nie jest mu winien. Light osobiście ściął mu głowę trzy dni temu.

– Jestem pod wrażeniem... Choć nie skomentuję tego, jak błahymi sprawami zajmuje się mój wywiad w czasach wojny. – Odwróciła się i ruszyła w stronę strzeżonych od zewnątrz przez dwójkę strażników drzwi.

– Wasza wysokość, jest jeszcze jedna sprawa! Dużo mniej przyjemna.

– Przyzwyczałam się, że rządzenie nie jest niczym miłym. – Skoro obowiązki wzywały, musiała powstrzymać się przed powrotem do komnat. – Cóż to za sprawa?

– Uchodźcy. – Starzec wypowiedział to, jakby nie wiedząc, jakiej reakcji spodziewać się po swojej władczyni, choć przecież doskonale wiedział.

– Co z nimi? Zaczynają robić burdy?

– Nie... jeszcze. Ale z dnia na dzień przybywają, i to licznie.

– I czegoś ode mnie oczekujesz? – Zmrużyła oczy, patrząc przenikliwie na kanclerza.
– Nie zmienię swojego zdania.

– Rozumiem, pani, ale trzeba wziąć pod uwagę możliwość wybuchu epidemii. Jeżeli uchodźcy zaczną ginąć z głodu na ulicy, a reszta zaatakują mieszkańców, będziemy mieli zbyt wiele problemów wewnątrz kraju, żeby skutecznie poprzeć szlachetne księżniczki.

– Co więc proponujesz? Tylko nie mów nic o otwarciu spichlerzy, nadchodzi zima, a ja mam własnych poddanych do wyżywienia, których, wybacz szczerze, cenię znacznie wyżej niż Equestrian.

– Ależ doskonale to rozumiem. – Tak, rozumiał to aż nazbyt dobrze. – Coś jednak musimy z nimi zrobić.

– Zablokujemy szlaki przez granicę. Nie wpuszczymy nikogo nieposiadającego glejtu, a tych, którzy już przyszli, odeślemy, skąd przybyli. Przygotuj wszystko na jutro do zatwierdzenia.

Stary kucyk nic nie powiedział, schylił tylko głowę i przymknął zmęczone oczy. Nie było innego wyjścia, liczyli się tylko ich poddani.

– Wasza miłość, mogę zadać pytanie?

– Ależ pytaj, byle to nie kosztowało mnie zbyt długiej odpowiedzi. O tak późnej porze coraz słabiej myślę. – Crystal nie powiedziałaby nigdy, że po zmroku Imperatorowa źle myśli. Wręcz przeciwnie, to właśnie późną porą w głowie Cadance rodziły się najlepsze pomysły.

– Jak się czujecie? Yyy... Ze żrebakiem?

– Dobrze, dobrze. – Uśmiechnęła się, mimo że nie lubiła tego tematu. Stary kanclerz był bodaj jedynym kucykiem, z którym chętnie rozmawiała na tak osobiste sprawy. – Żrebie powinno urodzić się na wiosnę, no, chyba że się pospieszy.

– Wiadomo już jakiej rasy?

– Jeszcze nie, ale znając życie, będzie to nie dość że alikorn, to jeszcze klaczka. – Zauważyła zdumioną minę starego, więc zaraz pośpieszyła z wytłumaczeniem swych brutalnych słów. – Widzisz, nadchodzą złe czasy, takie, w których autorytet klaczy stojących na czele państw zostanie podważony. Mieszkańcy, pamiętając wojnę, będą się bać kolejnej klaczy alikorna na tronie.

– Ależ pani, wojny były, są i będą...

– O wojnach wszyscy zapomnieli, zbyt długo panował pokój. To, co się teraz dzieje w Equestrii jest dopiero preludium do prawdziwego koszmaru, który nastąpi, gdy spadną pierwsze śniegi, gdy nieprzygotowane do niczego kucyki zaczną zdychać z głodu, mrozu i chorób. To będzie najgorsze, nie przetaczające się po państwie bandy zbuntowanych magnatów, nie grupy dezertów, nawet nie ten gnój Dreary. Największe żniwo zbierze natura, a gdy wszystko dobiegnie końca, zdziesiątkowani mieszkańcy Equestrii zaczną szukać winnych i padnie na księżniczki. Bo rządziły, bo pozwoliły na mordy i śmierć, bo są klaczami i nic nie pomoże fakt, że przez ponad tysiąc lat panował pokój. Naród będzie nazbyt rozgoryczony. Celestia i Luna nie utrzymają długo tronu państwa, upadną, a wraz z nimi upadną i ja. Chyba że będę miała syna, najlepiej zwykłego, kryształowego kuca

ziemnego, głupiego jak jego ojciec, którym mogłabym pokierować, a on w zamian obroniłby mnie przed sfrustrowanymi poddanymi.

– Możemy do tego nie dopuścić! Wojny u nas nie ma, wystarczy się postarać, żeby nigdy żadne jej konsekwencje do nas nie dotarły. – Ogier wyraźnie pobałdł, słysząc słowa swej władczyni.

– One już dotarły. Handel z południem niemal zamarł. Czy tego chcemy, czy nie, czeka nas głód. I śmierć.

Crystal oparł się ciężko o oparcie swego fotela. Nie tego się spodziewał, gdy pytał o dziecko. Ale przecież mógł się tego spodziewać. Mi Amore Cadenza nie była kolejną głupią damą pragnącą ślicznej, białej alikorn, była mądra i nadspodziewanie bystra. Czego niestety nie można było powiedzieć o jej mężu, porywczym i odznaczającym się umysłem typowego trepa Shinning Armorze.

– Prześpij się, Stealth. Jutro mamy dużo roboty. – Po raz ostatni spojrzała na starca i wyszła, nie oglądając się więcej.

To była prawda, mieli jutro naprawdę wiele pracy, ale Crystal przywykł do tego, że przy Imperatorowej Cadance nie ma czasu na odpoczynek i cały czas trzeba dawać z siebie wszystko, co najlepsze.

Centurion Mint Tail oparł się wygodnie o ścianę namiotu i zagłębił w lekturę nudnego raportu, przysłanego przed momentem przez posłańca. Jak zwykle to samo, niesubordynacja i braki żywności. Rzygał już tymi nowinkami, co dzień czytał dokładnie o tym samym, pisał takie same wiadomości do wyższego dowództwa, a odpowiedź nieodmiennie wyglądała identycznie. To znaczy nie było jej.

Zaklął pod nosem i już miał zabrać się za pisanie prośby o dodatkowe przydziały jedzenia, gdy otworzy się poły namiotu i stanął w nich jakiś żołnierz. Nagły podmuch wiatru porwał kilka leżących na niewielkim stole papierów i wyrzucił je w powietrze, kręcąc nimi nad głową skwaszonego ogiera.

– Czego? – warknął, nie podnosząc głowy znad raportu.

– Centurionie, kazał się pan zameldować po przybyciu. – Klaczy głos. Zimny i nieprzyjemnie twardy, jakby należący do samej generał Contrail.

– A, to ty. Wejdz i zasłoń to przekłete wejście. – Ogier z uwagą patrzył, jak Jet zamyka za sobą poły namiotu i z ponurym grymasem na pysku podchodzi do stolika. Stojąca nań świeczka oświeciła ją, wyłaniając z mroku brązowe oczy i długi, sięgający niemal ziemi warkocz. Wciąż miała na sobie pancerz i czerwoną tunikę, hełm musiała gdzieś zostawić. Nic zresztą dziwnego, niewygodna to była rzecz. Ciężka, że nieraz kark od niej

sztywniał, ciasna i nader wszystko gorąca. Zwłaszcza dzisiaj dała się legionistom we znaki, gdy metal nagrzewał się jesiennym słońcem. – Doniosłaś rannego? – Nie bardzo go to interesowało, ale wypadało się zapytać.

– Tak. – Skinęła ledwo widocznie głową.

– Jak się czuje?

– Nie żyje. – Lewa powieka lekko jej drgnęła. Przed chwilą chciała lecieć do pierwszego lepszego woźnicy i zatłuc na miejscu za niezabranie rannego, a teraz musiała stać z kamiennym pyskiem przed cholernym centurionem.

– To się zdarza. Podziwiam twoją determinację... Jak brzmi twoje imię?

– Jet Set. – *Wiem, że gównu cię to obchodzi.*

– Jet Set. Jak wiesz, jestem dowódcą jednej z centurii 16 turmai. Służyłaś u...?

– Ja? – Nie dosłyszała pytania, zbyt zamyślona i przepełniona nienawiścią do całego świata.

– Zresztą nieważne. Już u niego nie służysz. Będiesz u mnie, jutro zaatakujesz Canterlot w szeregu mojej centurii. – Uśmiechnął się, widząc zdziwienie malujące się na pysku klaczy. – Dziwi cię to? A nie powinno. Widzisz, zawsze miałem słabość do dobrych, twardych żołnierzy, takich jak ty. Moja jednostka ma być najlepsza w całej armii, a ty w tym pomożesz. Od teraz walczysz pod centurionem Mint Tail'em, w 4 Centurii. Dark Wing! – Do namiotu wbiegł czekający na zewnątrz granatowy pegaz i zasalutował karnie. – Zaprowadź naszą nową towarzyszkę do jej namiotu.

– Tak jest. – Skłonił się nisko i bez ceregieli wyciągnął zaskoczona klacz z kwatery.

– Hej! Zaraz, a moje rzeczy?! – Była przywiązana do swojego dobytku, w szczególności do miecza, z którym zazwyczaj się nie rozstawała. Zazwyczaj...

– Nie kłopotz się. Swoój dobytek zabierzesz po drodze.

Dark Wing siłą wyprowadził wciąż opierającą się Jet Set i zaczął prowadzić wąskimi alejkami obozowymi. Nieustanny huk dzwonów alarmowych towarzyszył armii, odkąd przed niespełna dwoma godzinami podeszła pod mury miasta. Klacz z niepokojem wpatrzyła się w rozświetlony tysiącami świateł obóz i górujący nad nim wysoki i niedostępny Canterlot. Mrużąc oczy, patrzyła na kamienne fortyfikacje, dziesiątki wież i bram, powiewające dookoła czerwono-purpurowe flagi.

Na murach widać było przechadzających się w blasku dziesiątek pochodni żołnierzy. Była to prawdziwa zbieranina, jeszcze większa niż rozbita przed paroma dniami armia Marvelousa. Obok siebie stali sklepikarze, kupcy, awanturnicy, dezterterzy, zbiegli wieśniacy,

najemnicy i szlachcice. Było nawet kilka gryfów, obrzucanych niechętnymi spojrzeniami przez swych kucykowych towarzyszy. Srebrzyste napierśniki i lekkie kolczugi odbijały słabe światło wprost w oczy oblegających.

– Zaraz! Zatrzymaj się! – Jet dostrzegła znajomą sylwetkę, chyłkiem przemierzającą obozowisko, jakby kryjąc się przed wszechobecnymi źródłami światła. – Antalek! To ty? Gdzie, do diabła, byłeś?

Postać zatrzymała się i niechętnie odwróciła głowę w stronę nawołującej Jet Set. Niepewnie podeszła bliżej, z obawą patrząc na stojącego obok, lekko zniecierpliwionego Dark Winga. Zupełnie jak nie Antalek.

– Gdzieś się włóczyła cały dzień? – Kremowa pegaz zaniepokoiła się zachowaniem znajomej.

– A, szłam sobie... – Spuściła głowę.

– Co? Tyle to sama odgadłam. Co się z tobą dzieje?

– Wysłali mnie do kohorty karnej... – Spojrzała na Jet wzrokiem wypranym z jakichkolwiek emocji. Straszny wzrokiem.

– Za... – Nie dokończyła. Nie było sensu pytać, czemu została skierowana do niechlubnego oddziału dezertów. Podbite wyraźnie oko i ślady krwi pod nosem wskazywały na starcie z jakimiś legionistami. Pewnie przy idiotycznej próbie pomocy Sunny nie wszystko poszło jak trzeba...

– Jutro mam zasypywać fosę... – Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Patrzyła tylko na zalegający pod kopytami piach i rosnące to tu, to tam kępki trawy.

Jet chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie wiedziała co. Antalek zresztą nie wyglądała, jakby chciała dłużej rozmawiać. Bez słowa odwróciła się i czym prędzej zniknęła w mroku.

Dark Wing o nic nie pytał, tylko pociągnął pegaz za sobą w stronę jej nowego namiotu. Stał na samym skraju obozu, w jednej z głośniejszych jego części. Wrzaski i śmiechy niosły się wysoko ponad szczyty kwater, ponad strzeliste mury Canterlotu.

Ogier przystanął przed jednym z dziesiątków identycznych namiotów. Przed jej nową kwaterą. Gestem kazał wchodzić do środka i prędko odszedł.

Nie oglądając się dłużej za siebie, klacz weszła do środka, mimowolnie obrzucając zebrane wewnątrz kucyki nieprzyjemnym spojrzeniem. Była ich czwórka. Trzy klacze i jeden ogier. Siedzieli na swoich barłogach i wytrzeszczali się na Jet, uśmiechając drwiąco pod nosami. Już ich nie lubiła...

Siedząca najbliżej wejścia żółta klacz z czarną grzywą zwlokła się z posłania i podeszła do Jet tak blisko, że omal nie stykała się z nią nosem.

– Ty jesteś ta nowa? – *Jak znowu nowa?* Jej głos wyjątkowo odstręczył Jet. Wysoki, piskliwy i na wskroś przepełniony pogardą. – Tak. – Pokiwała głową, nie czekając na odpowiedź. – Tam, siadaj i milcz.

Pegaz zdumiała się tym “powitaniem”. Co jak co, ale zazwyczaj legioniści bardziej interesowali się nowo poznanymi współlokatorami. Nie odzywając się ani słowem, przeszła na koniec namiotu i rozłożyła na barłogu, wpatrując się ze znudzeniem w czerwone płótno.

– Nic mi tu nie pasuje! – Luna ze złością wstała znad rozpostartej mapy. Potrzebowała dokładnych informacji o pozycjach wrogich wojsk, o ich liczebności i zamiarach, jeśli miała myśleć o szybkim zwycięstwie. Tymczasem nie miała nawet pojęcia, które tereny Equestrii są pod ich panowaniem, a które już nie!

– Spokojnie, Luna. – Celestia podeszła do siostry, uśmiechając się słabo. – Co tym razem?

– Nic nie wiemy... Nic. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w kraju.

– Bez przesady – zaproponowała Księżniczka Słońca. – Coś da się ustalić...

– Tak! To, gdzie jesteśmy, owszem! Ale nic poza tym!

– Co ty wygadujesz! – zdenerwowała się. – Patrz. – Podeszła do mapy i nachyliła się nad nią. – Kraj podzielił się na prowincje. Część nam sprzyja, a część nie...

– Ta... Chyba że wszystko poszatkowało się jeszcze bardziej...

– Założmy, że nie. Północ jest spokojna, całe pogranicze z Kryształowym Imperium jest w zasięgu naszej władzy...

– To dwie prowincje. – Luna pokręciła ze zniecierpliwieniem głową.

– Dobrze i to. Południe podobnie, wokół wału panuje jako taki spokój...

– Chyba że pojawią się barbarzyńcy i postanowią coś sobie podpalić.

– Mogłabyś przestać? Nikomu nie pomagasz. – Celestia zniecierpliwiła się ciągłymi docinkami siostry. – Największy problem jest na wschodzie, zachodzie i centrum kraju.

– Czyli niemal w całej Equestrii. Przestań się oszukiwać, spokojne są pogranicza, cała reszta tłucze się między sobą.

– Nieprawda! Przeszliśmy tędy. – Celestia wskazała szlak 2 Armii, ciągnący się południowymi rubieżami kraju, od położonego na wschodzie Baltimore aż po sam Canterlot.
– Problemy zaczęły się dopiero kiedy opuściliśmy południe, ale nie żadne pogranicze, tylko jedną z prowincji! W centrum owszem, wojna wszystkich ze wszystkimi, ale północ i południe są w miarę spokojne.

– Nigdy nie zaprowadzimy tu porządku! Na pewno nie z armiami rozszanymi po całym kraju.

– I dlatego trzeba je będzie jak najszybciej sprowadzić tutaj. Do Canterlotu. Dopiero tam zaczniemy się nad tym na poważnie zastanawiać, teraz to tylko mowa-trawa. Trzeba będzie zmontować jakąś siatkę szpiegowską... I koniecznie porozumieć z Cadance.

– Tia... Mamy jeszcze jeden problem. Chyba nawet dużo poważniejszy...

– Doprawdy? Cóż to znowu? – Księżniczka miała już dość złych wiadomości, wszystkie możliwe nieszczęścia musiały spotkać akurat ją oraz wymęczoną 2 Armie.

– Żołd. – Krótko i zwięźle. – Nie stać nas na utrzymanie takiej armii.

– Ile nam jeszcze zostało? Starczy do czasów negocjacji z Kryształowym Imperium? Cadance będzie musiała nam pożyczyć...

– Zalegamy z wypłatą za ostatnie dwa miesiące. – Luna z niepokojem postukała w ziemię prawą nogą. Celestia odwróciła się od niej z rezygnacją wymalowaną na pysku.

– Czyli w każdym momencie może nam zagrozić bunt. Wspaniale. Masz jakieś pomysły? Bo szczerze powiedziawszy, ja już nie.

– Owszem... jeden. – Pani Księżycy spojrzała porozumiewawczo na siostrę. W jej oczach ciał się strach i próżno skrywana odraza do samej siebie.

– Co masz... Nie! Nie pozwolę na to. – Celestia wytrzeszczyła oczy ze złości. – Nie. Pozwolę.

– Nie mamy innego wyjścia. – Luna nie zdziwiła się nagłym wybuchem siostry. Rozumiała go doskonale, na jej miejscu też zaczęłaby pewnie krzyczeć i protestować, ale wiedziała, że nie może się teraz zawahać. – Nikt nie będzie walczył za władcę, którego nie stać na własną armie!

– Ani za władcę, który pozwoli na plądrowanie stolicy!

– Wojsko to wszystko, co nam pozostało! Nie mamy żadnych innych argumentów, jeżeli je stracimy, stracimy wszystko! – Luna postąpiła kilka kroków do przodu.

– Nie! Nie pozwolę na to! Lepiej się prześpij, najwyraźniej ze zmęczenia tracisz poczucie rzeczywistości.

– To ty je tracisz. – Luna odwróciła się z gniewem i ruszyła w stronę własnej części namiotu. – Pamiętaj, że okazywanie słabości równa się z poddaniem...

Słońce dotykało już horyzontu, kiedy przed oczyma trójki podróżnych ukazały się mury Stalliongradu. Miasto nie miało wiele wspólnego z Canterlotem. Z daleka widać już było, że jest brudne i zaniedbane. Wznoszące się ponad dziurawymi, sypiącymi się dachami wieże chyliły się na boki, jakby miały zaraz runąć, grzebiąc pod sobą przechodzących spieszenie mieszkańców. Kamienice centrum były niskie, jedno- i dwupiętrowe, krzywe, z zachlapanymi błotem i wszelkiego rodzaju nieczystościami ścianami. Broniące wejścia fortyfikacje prezentowały się jeszcze gorzej. W wielu miejscach mur zawalił się, a powstałe wyłomy pracowici mieszkańcy zabili krzywymi, zaostrzonymi na końcach deskami. Jedynym nieco przypominającym stolicę elementem była głęboka, śmierdząca na kilometry fosa.

– No, jesteśmy. – Goldenrod pokiwała z zadowoleniem głową. Miała już dość nieustannej paplaniny Bloody, która zdaje się obrała sobie za cel zabawiać Equinixa przez całą podróż. – Tylko... O nie. Jak tam się dostać?

Jednorożec podbiegła szybko do jednookiej i spojrzała z góry na rozpościerające się w dole miasto.

– Przez bramę? – zaryzykowała.

– Przez bramę to sama możesz iść. Przynajmniej oszczędzisz mój słuch. Nie widzisz żołnierzy. Cholera, są wszędzie!

Wokół miasta kordonem rozpościerały się namioty. Uwijające się wokół kucyki nosiły jaskrawopomarańczowe szaty z haftem, którego z tej odległości nawet wprawne oko Equinixa nie mogło odróżnić. Wyglądali, jakby właśnie oblegali miasto, tylko że... murów nikt nie bronił.

– Co do...? Kto to jest?

– Bez znaczenia. Jedno jest pewne, nie chcemy ich spotkać. – Goldenrod rozejrzała się niespokojnie po okolicy i natrafiła okiem na niewielką chatkę stojącą przy jednym z bocznych traktów, kawałek od miasta. – Equinox, widzisz, co jest napisane na tamtym szyldzie?

– Widzę. – Ogier miał doskonały wzrok. *Przynajmniej jest z niego jakaś korzyść...*

– Co tam jest napisane?

– Eee... Ja nie umiem... – Podrapał się zażenowany po głowie.

– Naprawdę...? Przecież mówiłeś, że twój dziad umiał.

– Ale on był starostą i nauczył się. Ja nigdy nim nie byłem – Spuścił głowę.

– Trudno. Wygląda jak jakaś opuszczona gospoda. Jak się nam poszczęści, to przeczekamy tam spokojnie do rana i zastanowimy się, jak przeniknąć do miasta. – Klacz ruszyła w stronę budynku, prowadząc za sobą towarzyszy.

Rozglądając się na wszystkie strony, przemknęli przez zarośnięte, od dawna porzucone pole. Drzwi zatrzeszczały głośno pod naporem pary kopyt i ustąpiły opornie. Weszli do chałupy. Bloody rozjarzyła róg, oświetlając pokój krwawoczerwonym blaskiem. Kilka porozrzuconych na wszystkie strony mebli poszło na odrapane, drewniane ściany rozdygotane cienie, z daleka przypominające potwory, jakimi często straszy się niegrzeczne żrebaki. Na środku, w niewielkim wgłębieniu, otoczone kamiennym kręgiem znajdowało się niewielkie palenisko. Zaraz obok leżał sporej wielkości kłab.

– Ale nora... – Goldenrod rozejrzała się z niesmakiem po pomieszczeniu. Zwisające z sufitu pajęczyny zaplątały się w jej grzywę, a w nozdrza uderzył ciężki zapach stęchlizny. Gliniana polepa pod kopytami promieniowała zimnem. – Trzeba by ognisko rozniecić.

– Się robi! – Bloody podbiegła do zawilgoconego paleniska. – Drzewiej rozpałam i podczas burzy...

– Tam coś jest. – Equinox szarpnął się niespokojnie, patrząc na kłab. – Rusza się.

– Gdzie? – Goldenrod z niepokojem powiodła za nim spojrzeniem. Bezkształtna masa poruszyła się wyraźnie. – Co jest?

Klacz podeszła niepewnie, wyjmując zza pasa miecz i celując nim w... coś. Wyglądająca jak kupa szmat góra uniosła się powoli i odwróciła do podróżników, ukazując wytrzeszczone, przekrwione oczy starego ogiera.

– Czego tu chcecie? – ochryply głos rozbrzmiał wśród zawilgłych ścian opuszczonej gospody. – Wynoście się!

– Ciszej, dziadku. – Bloody rozjarzyła mocniej róg i strzeliła w palenisko okrągłą, oślepiająco jasną kulą. Buchnął ogień wysoki niemal po sam sufit i ze stłumionym hukiem wybuchł eksplozją ciepłych kolorów. Jednorożec pokiwała z zadowoleniem głową. – Od razu przyjemniej.

– Czego tu szukacie?! – Starzec nie wyglądał na zadowolonego wizytą niezapowiedzianych gości, zwłaszcza po przedstawieniu Bloody. Nigdy nie można było ufać jednorożcom.

– Przeczekać noc. – Goldenrod postanowiła odezwać się pierwsza, zanim szalona klacz nie postanowi dla zabawy przemienić ogiera na przykład w kupkę popiołu. – Na zewnątrz widzieliśmy spory ruch, nie wiemy, czy zdołamy dostać się do miasta przed zamknięciem bram...

– Do miasta? Ha ha ha... – Nieznajomy odchylił się i zarechotał głośno i ochryple. – I tak byście się nie dostali. Nikt tam nie wchodzi i nie wychodzi. Nie licząc cotygodniowego wywozu trupów.

– Co takiego? – Jednooka z dzikim wzrokiem podbiegła do starca.

– No, wywożę tych, co już szczęśli i palą za miastem, coby epidemii nie podtrzymywać. Odsuń się, dziewczko, potrzebuję powietrza! – Zakaszał i ze złością odepchnął Goldenrod. Klacz nic sobie z tego nie zrobiła i stojąc, gdzie stała, złapała go za grzbiet i potrząsnęła mocno.

– Ale co tam się dzieje?! Jaka epidemia?!

– Puszczajże! – Zachrypiął i obrzucił śnieżnobiałą karcącym spojrzeniem. Nic to jednak nie dało. – Klacz morowa – podjął. – Zjawiła się jakieś dwa, trzy tygodnie temu i zaraziła mieszkańców Stalliongradu. Miłościwie nam panujący pan Daylight, tfu, tfu – splunął z pogardą pod kopyta – ogłosił kwarantannę i zabronił komukolwiek opuszczać lub choćby zbliżyć się do miasta.

– No pięknie... – Goldenrod opadła ciężko na polepę, puszczając wreszcie trzęsącego się z oburzenia starca.

– Niechybnie jest jakiś sposób. – Bloody zaczęła kluczyć po zagraconym pomieszczeniu.

– Nie ma. – Nieznajomy pokręcił z udawanym smutkiem głową. Nienawidził tego zasmrodzonego, przepełnionego wszechobecnymi jednorożcami miasta. – Nikt nie wchodzi i nikt nie wychodzi. Chociaż... – Zastanowił się. Trzeba było gdzieś odprawić te przybłędy, to nie miejsce dla nich. W końcu on zajął ruiny karczmy i nie zamierza się z nikim dzielić. – Jakiś czas temu wyprowadzono z miasta całkiem sporą grupę mieszkańców.

– Więc jednak jest jakaś dobra wiadomość. Wiecie może którądy? – Jednooka powstała z nową nadzieją.

– Owszem, widziałem. Przez bramę solną, a raczej furtkę w murze koło tej bramy. Wyprowadzono ich poza miasto i nabit na pale, tuż nad fosą. – Ponownie zarechotał głośno, tym razem jednak szybko przestał, nie mogąc powstrzymać głośnego kaszlu.

– Kogo?! – Goldenrod przeraziła się tym razem nie na żarty. Czyżby to byli ci, do których podróżowała przez ostatnie kilka dni? – Wiecie, kim byli?

– Oczywiście, że nie. Za kogo mnie uważasz? To niechybnie jacyś polityczni, na których śmierci komuś niezwykle zależało. Ale ich truchła nadal wiszą nad fosą, jakoś nikt nie kwapi się do ich uporządkowania, więc możesz się napatrzyć do woli. Najlepiej jak najszybciej. – Zmrużył nieprzyjemnie oczy i wskazał kopytem drzwi.

Goldenrod już chciała wybiec z rudery i pędzić w stronę miasta, ale powstrzymał ją głos Equinox.

– Nie ma sensu iść tam po ciemku. Jutro ich sobie obejrzymy, a teraz odpocznijmy. – Usiadł demonstracyjnie na środku pomieszczenia i oparł o przewrócony, drewniany stół.

– Nie ma na co czekać!

– Jest! Siadaj i odpoczywaj, a ty, starcze, lepiej zamilcz. – Goldenrod zamarła, słysząc ostry, rozkazujący głos Bloody.

– Coś ty powiedziała? – Jej głos zawibrował w nagle cichym pomieszczeniu. Stary ogier odwrócił z niesmakiem głowę, udając, że krótka wymiana zdań między kłaczami zupełnie go nie obchodzi, a Equinox poszedł w jego ślady i wpatrzył się w trzaskający wesoło i dymiący nieznośnie ogień. – Za kogo ty się uważasz? Zrobię to, na co mam ochotę i nic ci do tego!

– Spokojnie! – Głos jednorożec wcale do najspokojniejszych nie należał. Ostry i nieprzyjemny, przypominał raczej warczenie głodnego wilka. – Nie widziałaś kordonu wokół miasta? Nic nie znajdziesz, co najwyżej złapią cię i odstawią księżniczkom.

Jednooka zacisnęła ze złością szczękę. Nie chciała przyznać, ale Bloody miała rację. Bieganie po nocy wokół miasta w poszukiwaniu kilku trupów było cholernie złym pomysłem. Nie wspominając nawet o obecności wojsk tego całego Daylighta. Nie miała pojęcia, kto to, ale jedno było pewne, kilka tygodni temu kto inny zarządzał tą prowincją. Jakaś kłacz z rodu Don of Spark, tak szybko się to zmieniło, jeszcze wcześniej rządziła tu rodzina Dark Sun...

– Dobra... Zostaniemy tu do rana, ale potem zaraz wyruszamy. Muszę się im przyjrzeć. – Bloody i Equinox wyraźnie się rozluźnili, w przeciwieństwie do starca, którego pysk momentalnie stężał i spochmurniał.

– Ciekawe jak... – zakpił młodszy ogier. – Nie widziałaś tych wojsk? Jak chcesz się przedostać pod mury?

– Musi być jakiś sposób... Przekraść się jakoś. Hej, dziadku, nie wiecie przypadkiem, jak się tam dostać?

– A nawet jeśli, to dlaczego miałbym wam powiedzieć? Siłą wdarliście się do mojego domu i myślicie, że jeszcze pomogę?!

– Właśnie tak myślimy. – Bloody podeszła bliżej i skierowała w jego stronę róg. – Albo zaraz przerobię cię na kupkę popiołu – wyszczerzyła się paskudnie, widząc strach w oczach ogiera.

– Im szybciej nam powiesz, tym szybciej się zabierzemy. – Goldenrod nie miała siły na dyskusję, trzeba było jak najszybciej uciszyć szaloną jednorożec, zanim rzeczywiście kogoś upiecze. Ogier zaklął pod nosem, splunął po raz kolejny i rzucił przybyszom pogardliwe spojrzenie.

– Nabili ich koło Północnej Bramy, tej, do której prowadzi Trakt Transwersalny. Nie musicie podchodzić specjalnie blisko, żeby ich dojrzeć. Zaraz obok znajdują się ruiny młyna, nie nadaje się na kwatery żołnierskie, bo dach spłonął przed paroma laty. Możecie się w nim ukryć i stamtąd ich sobie pooglądać. Znaczków i tak byście nie rozpoznali, bo przed śmiercią im wycieli. – Standardowy zwyczaj, uważany za jedną z największych zniewag.

– Niech będzie, chyba nie ma innej opcji. – Nie musiała im się przyglądać z bliska, znała placówkę stalliongradzką aż nazbyt dobrze, żeby nie odróżnić jej członków. Jeżeli to rzeczywiście on zostali zabici... Nie! Nie ma sensu o tym teraz myśleć, trzeba odpocząć i przygotować się na następny dzień.

Nie wypoczęła ani odrobinę. Przez pół nocy wysłuchiwała niekończącej się paplaniny Equinox i starca o żyjących w okolicy potworach i wszelakim tałatajstwie, uprzykrzającym życie prostemu rolnikowi. Niedobrze się jej robiło na każdą kolejną wzmiankę o wilach, mamunach, morach, borowych, ściągających pioruny latawcach, targających po niebie planetnikach i przeklętym plonku. Zwłaszcza temu ostatniemu najchętniej ukręciłaby łeb! Equinox przez niemal godzinę biadał, jaką to straszną rzecz zrobił starzec, zabijając owego stwora i przybijając łeb do ściany. *To przecież jeden z pożyteczniejszych demonów*, mówił. *Znosi gospodarzom dobra do domów!* Głowa, którą klacz przyuważyła zresztą już dużo wcześniej, wyglądała jak zwykły dziób koguta, nie dobrotliwego, bestialsko zamordowanego demona. Tak, im dłużej wędrowała z Equinoxem, tym wyraźniej widziała zacołanie wsi.

Rzeczony młyn, zza którego mieli mieć doskonały widok na okolicę, okazał się niestety prowizorycznym burdelem chutliwych żołnierzy. Wyłożona prowizoryczną słomianą matą podłoga, zasypana na dobre pół metra gruzem i nadpalonymi szczątkami dachu, nie była najwygodniejszym miejscem do leżenia. Szczęśliwie zajęte sobą pary nie zwróciły najmniejszej uwagi na przyczajoną za rogiem trójkę.

Goldenrod patrzyła na ustawione w rzędzie pale i nabite na nie kucyki. Patrzyła długo i nie mogła uwierzyć. Członkowie zarządu RKZ-u zostali zamordowani, co do jednego. Nogi zatrzęśły się pod nią, usiadła ciężko na zacienionej trawie i oparła się o biały, popękany mur młyna. Pokręciła z rezygnacją głową. Bez przywódców jej zwolennicy zwyczajnie się rozleżą. Placówki sprawowały nie tylko nieformalną władzę, ale i były centrami administracyjnymi, bez nich nie było RKZ-u.

– Spóźniliśmy się – mruknął niewyraźnie Equinox.

– Gówno prawda. Szliśmy najszybciej jak się dało, po prostu nie mieliśmy szans. – Słowa ogiera jakby ocuciły śnieżnobiałą klacz. Wstała powoli i rozejrzała się po okolicy. – Zmywajmy się, nie kuśmy losu, tu aż roi się od niewyżytych kuców.

Ostrożnie wyjrzała za róg budynku. Nie dostrzegła nikogo, Trakt Transwersalny, przy którym stała ruina, był pusty, podobnie jak otaczające ich zarośnięte i zaniedbane pola. Ruszyli, delikatnie stawiając kopyta, w stronę pobliskiego zagajnika, tą samą drogą, którą przed niespełną półgodziną przybyli.

Goldenrod nie odezwała się więcej. Musiała przetrwać wszystko i zastanowić się, co dalej robić. Podróżowanie do kolejnego miasta oddalonego co najmniej o kolejne pięć dni drogi nie było najlepszym rozwiązaniem. Jaką miała mieć pewność, że i tam RKZ nie został już unicestwiony? To, że wciąż było wiele wyznających jej idee kuców, nic nie zmieniało. Właśnie sukcesywnie niszczeni byli lokalni przywódcy, ci, którzy spajali wszystko razem, nie pozwalali rozleść się reszcie. Kiedy ich zabraknie, utworzenie podobnych struktur od początku będzie niemal niewykonalne, zwłaszcza dla ściganej przez prawo buntowniczkę. Trzeba było zacząć działać samemu, i to jak najszybciej!

Jej rozmyślania przerwał naraz cichy głos Bloody Light, od dłuższego już czasu wpatrującej się w rosnące obok gęste zarośla.

– Ktoś tam jest. – Niespokojnie zastrzygła uchem, machnęła czerwonym ogonem, zmrużyła oczy. – Obserwuje nas...

– Niedobrze... To może być ktoś z tego obozu. – Goldenrod starała się powiedzieć to jak najciszej. – Bloody, zrób coś z nim.

– Jak sobie życzysz...

Pochyliła głowę w stronę gąszczu i skupiła w rogu magię. Nim jednak zdołała rzucić czar, do uszu podróżnych doszedł delikatny szmer z tyłu, a zaraz później i z boku. Okoliczne krzaki poruszyły się. Nagle bez ostrzeżenia wyskoczyły z nich odziane w pomarańcz kucyki i otoczyły wytrzeszczającą oczy ze zdziwienia bandę Goldenrod.

– Nie ruszać się! – zawył stojący na wprost nich szaro-czerwony jednorożec. Lewitowana przez niego włócznia celowała prosto między oczy Bloody. – Ty, czerwonogrzywa, opuść natychmiast róg! Ale już!

Klacz nie poruszyła się, wpatrując tylko w stojącego przed nią kucyka, najprawdopodobniej dowódcę. Krąg zacieśnił się, dokładnie otaczając podróżnych.

– To na pewno oni? – Dowódca rzucił porozumiewawcze spojrzenie komuś stojącemu z tyłu.

– Tak, panie centurionie! Poznaję dwie klacze, ogiera nie jestem pewny, ale te dwie na pewno.

– Dobrze... – Ledwo zauważalnie skinął głową, dając tym samym żołnierzom znak do ataku.

Bloody była jednak szybsza. Zielona błyskawica wystrzeliła z jej rogu, trafiając w ziemię tuż pod nogami dowódcy. Potężna eksplozja wstrząsnęła całym lasem, gdy stojące przed nią kucyki odrzuciło w tył na dobrych parę metrów. Dowódca cudem zdążył postawić barierę, jednak czar klaczy roztrzaskał ją w drobny mak i cisnął nim na rosnące obok drzewo. Goldenrod wyrwała zza pasa niewygodny miecz i natarła na podbiegającego właśnie w stronę jednorożec piaskowego kucyka. Niespodziewający się ataku z tej strony żołnierz kątem oka zobaczył nadlatującą klingę i nie zdążył się już cofnąć. Ostrze trafiło go w łopatkę i roztrzaskując osłaniającą ją kolczugę, wbiło się z trzaskiem w ciało. Krew buchnęła na boki, brocząc kopyto jednookiej. Klacz wyrwała miecz i miękko cięła w szyję, roztrzaskując kręgi. Głowa nieszczęśnika wyleciała w powietrze, zostawiając za sobą kropelki krwi, i upadła w trawę pod nogami do tej pory przyglądających się wszystkiemu żołnierzy.

Tymczasem Bloody odwróciła się tak, żeby móc chronić Goldenrod przed atakiem z tyłu. Pierwszy z nadbiegających przeciwników zwałił się na ziemię z roztrzaskaną czaszką, drugi dostał prosto w pierś i legł bez życia. Zarechotała paskudnie, widząc jego martwe ciało. Ale atakujących było zbyt wielu. Do Bloody doskoczył naraz młody jednorożec i uśmiechając się parszywie, strzelił w jej stronę bładoniebieską wiązką. Klacz bez większego problemu ustawiła tarczę, po czym sama zaatakowała. Przeciwnik znalazł się na czarach, musiał sporo trenować, ale nie był przygotowany na tak potężne zaklęcia, jakie w jego kierunku wystrzeliła Bloody. Oślepiający, wściekle zielony promień przeszedł przez jego tarczę, jakby jej tam wcale nie było, i uderzył w ogiera. Przeciwnik nie zdążył nawet pomyśleć o niebywalej sile zaklęcia. Zwyczajnie wyparował, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Klacz jednak straciła zbyt dużo czasu na walkę z młodocianym czarodziejem. Dopadła do niej dwójka pegazów. Jednego zdołała jeszcze strącić z nieba, zamieniając w dymiącą kupkę mięsa, ale kolejny zdzielił ją po głowie płazem miecza.

Jednorożec krzyknęła z bólu i rozłożyła się jak długa na ziemi. Przed oczyma jej pociemniało, zatańczyło kilka kolorowych plamek. Usłyszała gniewny krzyk Goldenrod, nagle przerwany, i odgłos upadającego ciała. Wykrzesła z siebie jeszcze trochę energii i ponownie uderzyła w grunt, posyłając najbliższych żołnierzy na okoliczne drzewa. Podkuczyła przednie nogi i spróbowała wstać. Nie zdążyła, cios w głowę odebrał jej resztki świadomości.